

CZYTELNIA MBP CIESZANÓW KRESOWIAK GALICYJSKI



ISSN 1426-4773

W NUMERZE:

- Z Francji do Angli
- Wojenna tułaczka
- Kronika Policyjna
- Po pracę do Norwegii

Indeks 334596

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNO-INFORMACYJNY POWIATU LUBACZOWSKIEGO

Nr 5 (186) www.kresowiakgalicyjski.pl

maj 2012

Cena 2,50zł (w tym 5% VAT)

DEGRADACJA POWIATU

Nadeszły ciężkie czasy dla powiatów. Szczególnie te mniejsze, biedniejsze, takie właśnie jak lubaczowski najwięcej mogą stracić. Już trwa proces ogalania ich z szeregu urzędów, instytucji i placówek. Zakusy centralnych władz idą w kierunku likwidacji sądów, Sanepidu, urzędów skarbowych, nadzoru budowlanego. Zagrożone są niektóre placówki pocztowe, (w kraju zamknięto 389 wiejskich urzędów pocztowych). Samorządom coraz trudniej utrzymać szkoły więc tendencja do ich zamykania. Padają zakłady pracy. Niemal 100 pracowników Lubaczowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego jest bez pracy. Grupowe zwolnienia miały też miejsce w Fabryce Mebli w Dachnowie.

Coraz mniej jest połączeń autobusowych. Z dotarciem do takich miejscowości jak Brusno, Huta Różaniecka, Ułazów i innych wiąże się z wielogodzinnym oczekiwaniem na autobus. Wprawdzie rekordowo wzrosła liczba posiadaczy samochodów, to jednak w każdej miejscowości dla wielu mieszkańców jedynym kontaktem ze światem nadal pozostaje autobus. Od ponad roku zamknięta jest poczekalnia i kasa biletowa PKP w Lubaczowie a bilety kupujemy u konduktora.

Projekt Państwowej Inspekcji Sanitarnej w województwie podkarpackim przewidywał utworzenia na terenie województwa jedynie 4 stacji powiatowych oraz 5 filii. Równocześnie miało ulec likwidacji 11 stacji w tymi w Lubaczowie. Warto dodać, że w tej sprawie nie było żadnych konsultacji z władzami samorządowymi.

Z kolei Ministerstwo Sprawiedliwości zaplanowało likwidację sądów w wielu powiatach. Wśród nich jest też powiat lubaczowski. Jako uzasadnienie ministerstwo podaje zracjonalizowanie nadmiernie rozdrobionej struktury sądownictwa powszechnego a nie degradację powiatów. W Lubaczowie pozostałby tylko wydział zamiejscowy sądu.

W zamian powiększa się koncentracja ośrodków, urzędów, instytucji, zakładów pracy w dużych aglomeracjach. Postępuje więc proces szybkiej centralizacji tak pod względem gospodarczym jak i administracyjnym. Większe ośrodki jak pompa ssąca ciągną do siebie wszystko, łącznie z centralizacją firm, które mogłyby równie dobrze funkcjonować w każdym innym miejscu w Polsce.

Taki kurs polityki państwa to degradacja społeczności lokalnych, podcinanie ich korzeni, coraz większego ubóstwa w życiu kulturalnym. Efektem tego jest marazm, beznadziejność i masowe wyjazdy młodych ludzi w świat. Po 1989 roku Polska przyjęła model silnie scentralizowanej i skoncentrowanej władzy. Zaniedbano inwestycje infrastrukturalne, które pozwalałyby na zrównoważony rozwój kraju. To zła polityka, która pustoszy wieś i miasta. - czytamy w dzienniku „Rzeczpospolita”.

Przedstawiciele małych miast nie zwariowali protestując przeciwko obniżaniu rangi sądów czy likwidacji kolejnych inwestycji. Nie protestują z powodu lokalnego egoizmu ani wywołanej lokalnym patriotyzmem megalomanii. Protestują bo ciągle słyszą, że „ich” instytucje się likwiduje lub przekształca gdyż „nie opłaca się” ich utrzymywać. Protestują bo nie przekonują ich argumenty o racjonalizacji i oszczędnościach i, że mieszkańcy nie odczuwają zmian.

Sęk w tym, że racjonalizacja nie dotyka największych ośrodków. Tam nikt nie szuka oszczędności, bo boi się reakcji miejscowych polityków, samorządu, mediów, wreszcie mieszkańców kilkuset tysięcy miast.

cd. na str. 3

Teatr amatorski w Narolu

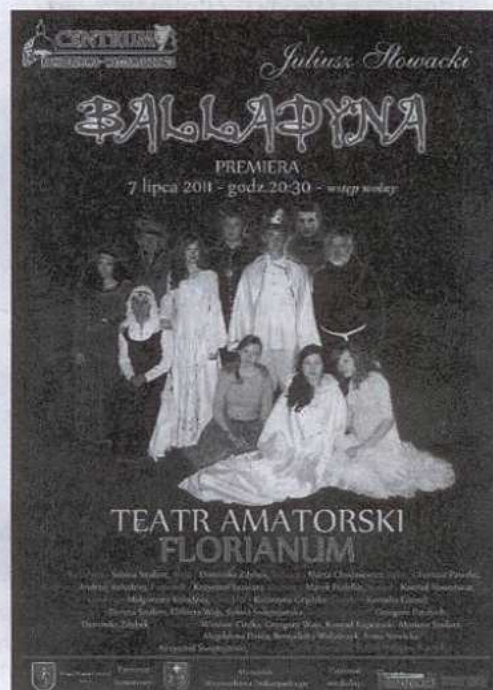
Teatr amatorski „Florianum” w Narolu to jedyna taka perełka w powiecie a może i w województwie. W dobie telewizji, Internetu już trzeci rok działalności amatorskiego teatru jest wyjątkowym wyczynem. Spektakl wyprzedza dziesiątki prób, konieczność uczenia się długich ról. A wiąże się to kosztem czasu wolnego. W zamian jest jednak olbrzymia satysfakcja, że każdy występ nagradzany jest przez widzów długimi brawami.

Inicjatorem założenia w grudniu 2009 roku teatru „Florianum” w Narolu, nawiązującego do bogatej historii teatrów amatorskich, działających przed laty na tym terenie był Krzysztof Świętojański. Do współpracy zaprosił i powierzył reżyserię Dorocie Szularz – absolwentce wrocławskiej uczelni ze specjalizacją reżyser teatru amatorskiego oraz Elżbiecie Wajs i Sylwii Świętojańskiej – nauczycielkom ze Szkoły Podstawowej w Narolu prowadzącym od kilku lat szkolne zajęcia teatralne.

Z nieukrywanych obawami przystąpiono do tworzenia zespołu. Nie miano pewności czy znajdą się chętni do żmudnej pracy wymagającej siły woli pracy. Po informacji jakie pojawiły się na plakatach oraz na portalach internetowych zgłosiła się jednak liczna grupa osób. Można było rozpocząć próby. Na premierę pierwszej sztuki wybrano „Zemstę” Aleksandra Fredry. Próby oraz prace nad muzyką, kostiumami i scenografią trwały kilka miesięcy.

Sztukę wystawiono na otwarcie XI C.K. Jarmarku Galicyjskiego 8 lipca 2010 r. Na scenie wówczas zagrali: Krzysztof Szawara – (Cześnik), Tomasz Pawelec (Rejent), Anna Szawara (Klara), Konrad Nowosiwiat (Dyndalski), Adrian Kicka (Wacław), Sabina Szularz (Podstolina), Marek Pudółko (Papkin), Sylwia Świętojańska (Ruzia). O przygotowanie muzyki poproszono Grzegorza Patałucha a wykonanie scenografii powierzone trójce artystów malarzy-rzeźbiarzy, a są to: Wiesław Ciećka, Grzegorz Wajs i Konrad Kopczacki. Budową konstrukcji scenografii zajął się Mariusz Szularz. Projekty strojów naszkicowała Magdalena Dzida – nauczycielka Szkoły Podstawowej w Narolu. Wykonaniem kostiumów natomiast zajęła się Bernadetta Wolańczyk. Spektakl wystawiano później kilkakrotnie i zawsze w wypełnionej po brzegi sali.

Serdeczne przyjęcie „Zemsty” zachęciło zespół do sięgnięcia po kolejną, jeszcze bardziej ambitny repertuar. Wybór padł na „Balladynę” Ju-



cd. na str. 3

Pracownicy LPB otrzymali zaległe wypłaty

Trzech pracowników Lubaczowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, którzy zastrzegli sobie anonimowość, podjęła starania o uzyskanie wynagrodzeń dla pracowników. Przypomnijmy załoga LPB od maja ub. roku nie pobiera poborów. W pierwszej kolejności z prośbą o interwencję zwrócono się do syndyka. Przy jego wsparciu pracownicy ci zwrócili się do Funduszu Gwarantowanych Świadczeń w Rzeszowie. Ich starania uwieńczono sukcesem. W rezultacie pracownicy, w ramach gwarantowanych świadczeń, otrzymali trzymiesięczne pobory, odpawy i zapłatę za zaległe urlopy. Natomiast pracownicy którzy byli na zwolnieniach lekarskich albo na kuracji rehabilitacyjnej świadczenia w terminie do połowy maja wypłaci im ZUS. Sukces ten niesłusznie przepisuje sobie były prezes przedsiębiorstwa. MW

Uzdrowisko w Horyńcu Zdroju sprzedane

Europejskie Centrum Lecznico-Rehabilitacyjne Lotos w Rabce-Zdroju zostanie nowym właścicielem uzdrowiska w Horyńcu-Zdroju. Obecnie horyńskie uzdrowisko jest spółką Skarbu Państwa. Ministerstwo Skarbu Państwa posiada 100 procent udziałów. Kilkanaście miesięcy temu zdecydowało, że spółka zostanie sprywatyzowana. Po ogłoszeniu swojej decyzji zgłosiło się trzech chętnych inwestorów: lekarz Beata Bogusz-Dukacz prowadząca Specjalistyczny Gabinet Reumatologiczny w Horyńcu-Zdroju, Marek Thier - szef PPHU Thier ze Świątnik Górnych oraz Europejskie Centrum Lecznico-Rehabilitacyjne Lotos z Rabki-Zdroju. Po analizie ofert na placu boju pozostała tylko ta ostatnia firma. Otrzymała - jak czytamy na stronie internetowej Ministerstwa Skarbu Państwa - wyłączność negocjacyjną w procesie prywatyzacji spółki Uzdrowisko Horyniec

www.zycie.pl

„Tanew” z Narola na

Podkarpackim Przeglądzie Chórów

W sobotę 24 marca w Radymnie koło Jarosławia odbył się VI Podkarpacki Przegląd Chórów, które prezentowały swoje umiejętności, wykonując pieśni pasyjne. Do Radymna przybyło aż jedenaście chórów z Podkarpacia, wśród których po raz drugi znalazł się chór „Tanew” z Narola, pod dyrygenturą Swietłany Karczewskiej. Mimo, że chór z Narola działa zaledwie od trzech lat, to wykonanie trzech pieśni pasyjnych zostało wyróżnione i nagrodzone gromkimi brawami.

Poziom prezentacji był bardzo wysoki. Występy oceniało jury w składzie: prof. Elżbieta Krzemińska z Lublina, prof. Marta Wierzbieniec z Rzeszowa oraz Andrzej Olchowa z Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Rzeszowie.

Chór Tanew wykonał pieśni „Pozwól mi”, „W ogrodzie oliwnym” oraz „Oto Jezus umiera”. Cotygodniowe spotkania, na których doskonaliły swoje umiejętności owocują występami w różnych miejscach i przy różnych okazjach. Patrząc na ogromne zaangażowanie członków chóru, których prezesem jest Marian Słonec, a dyrygentem Swietłana Karczewska, należy stwierdzić, że śpiewanie jest dla nich prawdziwą pasją. NCI

Nowa siedziba Biura terenowego ZUS w Lubaczowie

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

Biura Terenowego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Lubaczowie od dnia 02.04.2012 r. zmieniły swoją siedzibę. Nowy adres ul. Mickiewicza 168. 37-600 Lubaczów (obok budynku Szpitala Powiatowego w Lubaczowie.)

Telefony kontaktowe pozostały bez zmian: Centrala 16-6320772, 16-6320700 Fax 16- 6322981. Nie uległy zmianie godziny pracy placówki. W poniedziałek 7.00-17.00 od wtorku do piątku 7.00-15.00.

Konwent wójtów i burmistrzów w Wielkich Oczach

W Wielkich Oczach 11 kwietnia w odbył się kolejny konwent wójtów i burmistrzów. W trakcie roboczej debaty władze gmin przedstawiły swoje stanowiska, w takich kwestiach jak z infrastruktura drogowa, kolejowa, rozwój turystyki i ochroną zabytków, które ich zdaniem są ważne dla rozwoju powiatu. - Naszym zdaniem Podkarpacie i turystyka to nie tylko Bieszczady, ale również Roztocze i powiat lubaczowski. Zwróciliśmy także uwagę na to, że sieć komunikacyjna jest niewystarczająca – zwłaszcza dróg wojewódzkich, ale też powiatowych i gminnych, które są również istotne z punktu widzenia rozwoju. Warto też zwrócić uwagę na to, że na terenie powiatu są branże, które się ciągle rozwijają, np. w mieście Lubaczowie branża metalowa, przemysł meblarski, drzewny, zakłady mięsne, itd. W przyszłej strategii województwa podkarpackiego nie zostało ujęte przejście graniczne w Budmierzu. - powiedział starosta. Józef Michalik Podczas konwentu omawiane były też kwestie związane z koniecznością budowy obwodnic w poszczególnych miejscowościach, połączeń komunikacyjnych między gminami, koniecznością remontu dróg powiatowych, czy ochroną zabytków. www.lubaczow.powiat.pl

Targnęli się na własne życie

W Folwarkach mężczyzna popełnił samobójstwo poprzez powieszenie się na strychu obory – stodoły. Z kolei w Białach kobieta popełniła samobójstwo w budynku gospodarczym poprzez powieszenie się na sznurku. Próbę samobójstwa podjęła również kobieta w Cewkowie. Usiłowała się powiesić na dziecięcych rajstopach, ale została uratowana przez matkę. AM

Centrum Integracji Społecznej w Dąbrowie

Między gminą Lubaczów a powiatem lubaczowskim zawarte zostało porozumienie o współpracy na rzecz osób bezrobotnych. Jego efektem jest utworzenie w Dąbrowie Centrum Integracji Społecznej. To jeden z pierwszych takich ośrodków na Podkarpaciu i jeden z niewielu wśród planowanych w całym województwie. - Z założenia CIS ma umożliwiać społecznie wykluczonym powrót na rynek pracy. Dla mieszkańców jednak jest to także szansa na znalezienie zatrudnienia, w sytuacji, gdy na przykład nie przysługują im zasiłek dla bezrobotnych lub z innych powodów nie mają stałych dochodów - tłumaczy Małgorzata Błaszczak w Urzędzie Gminy w Lubaczowie. Na początek przygotowanych zostało 20 miejsc zatrudnienia

dla osób długotrwale bezrobotnych. - W dalszej perspektywie uczestnicy prac w centrum będą mogli znaleźć zatrudnienie w Kresowej Osadzie w Baszni Dolnej. www.zycie.pl

Nowoczesny Miejsko – Gminny Ośrodek Kultury w Oleszycach

W Oleszycach powstaje nowoczesny Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury. Mieścić się będzie w opuszczonym budynku Domu Handlowego. Jego przebudowa kosztować będzie prawie 5 milionów złotych, 85 procent tej kwoty stanowią pieniądze unijne. Remont już się rozpoczął i ma potrwać do końca roku. Inwestycja ta budzi jednak pewne kontrowersje. Część mieszkańców Oleszyc uważa, iż jest to zbędna inwestycja, bo są ważniejsze problemy do rozwiązania. Burmistrz odiera ataki i tłumaczy, że władze gminy mogłyby być posądzone o niegospodarność, gdyby nie wykorzystano dofinansowania. W nowej placówce powstanie sala widowiskowa, biblioteka, czytelnia i kawiarenka internetowa. Pieniądze na ich utrzymanie będzie musiały znaleźć gmina. www.radio.rzeszow.pl

Narolska Majówka

Niezwykle bogaty był program „Narolskiej Majówki” która odbyła się w dniach 1 -3 maja 2012 roku. W pierwszym miał miejsce panel historyczny. Bp Marjan Trofimiak z Łucka przedstawił historię i dzień dzisiejszy Kościoła na Wołyniu. Referentami byli także prof. Włodzimierz Osadczy i prof. Andrzej Gil z KUL w Lublinie

Z kolei w godzinach popołudniowych wystąpił Chór Dziecięcy SWITYLEN, kwartet męski AKAFIST, Trio bandurzystek –SIZIRJA.

2 maja w ośrodku rekreacyjnym Dębowy Dwór w Rudzie Różanieckiej odbył się I Dzień Słowacki. Na jego program złożyły się: Występ zespołu Atrix i dyskoteka z czeską i słowacką muzyką z lat 80 -90.

Święto Narodowe 3 Maja zaingerowano uroczystym nabożeństwem w Kościele Parafialnym w Narolu. Później odbyły się XXIX Narolskie Biegi Uliczne. A w godzinach popołudniowych w ramach Dnia Słowackiego wystąpi zespół ludowy „Tarka” oraz można było degustować słowackie dania i potrawy. NCI

Palma Wielkanocna

W dniach 29 - 30 marca 2012 r. w Szkołach Podstawowych oraz w Gimnazjach w Lubaczowie odbył się Konkurs na Najpiękniejszą Palmę Wielkanocną organizowany przez burmistrza Lubaczowa. Celem konkursu jest popularyzacja tradycji wykonywania i strojenia palm wielkanocnych, pogłębianie wiedzy o dziedzictwie kulturowym oraz przybliżenie tradycji Święt Wielkiej Nocy.

Wyniki konkursu:

Szkoła Podstawowa Nr 1. I miejsce Celina Karaś, II - Kamil Meder, III - Kamil Huba. Gimnazjum Nr 1. I miejsce Oliwia Czubocho, II - Paweł Gudź, III - Aleksandra Bosak. Szkoła Podstawowa Nr 2. I miejsce Patryk Szałański, II - Dominika Wałczyk, III - praca zbiorowa klasy IIb. Gimnazjum Nr 2. I miejsce Aleksandra Wach, II - Ewa Bundyra, III Aleksandra Kornaga. Pozostali uczestnicy zostali nagrodzeni pamiątkowymi dyplomami.

www.lubaczow

cd. ze str. 1

DEGRADACJA POWIATU

Łatwiej oszczędza się i „racjonalizuje podwórka” słabszych. Protest mieszkańców Rzeszowa ma inne znaczenie polityczne niż sprzeciw mieszkańców Lubaczowa.

Po macoszemu do prowincji ustawiają się partie polityczne. Trudno się doszukać w programie Platformy Obywatelskiej, a więc ugrupowania właściwie sprawującego władzę, jakichś pozytywnych postulatów wobec prowincji. Po prostu dla PO jest obojętny kraj za wielkimi miastami. Dotyczy to również i pozostałych ugrupowań politycznych.

Przypomnijmy Lubaczów w ostatnim dwudziestolecu przeżył m.in. likwidację ośrodków egzaminacyjnych na prawo jazdy, biura paszportowego, sądu pracy. Oczywiście za każdym razem oznaczało to również likwidację miejsc pracy i załatwianie spraw związanych z tymi instytucjami w Jarosławiu albo Przemyśle. Proces ten pociąga za sobą odpływ i to na zawsze z powiatu młodych wykształconych ludzi. Pogłębia to jeszcze bardziej degradację tego terenu.

Z kolei Marek Sawicki, szef resortu rolnictwa zamierza połączyć trzy inspekcje żywnościowe; weterynaryjną, nasienną i inspekcję jakości handlowej artykułów rolno – spożywczych. Pomysł ten już wywołuje protest weterynarzy. - Będzie drożej, większy bałagan a wszystko służy tylko i wyłącznie zastąpieniu obecnych ludzi działaczami PSL – mówią.

Na szczęście powiaty nie pozostały obojętne gdy usiłuje się na nie wydać wyrok. Narodził się oddolny ruch protestu. Konwent Powiatów Województwa Podkarpackiego, którego przewodniczącym jest Józef Michalik wyraził zdecydowany sprzeciw wobec zamiarów likwidacji Powiatowych Stacji Sanitarno – Epidemiologicznych oraz ich laboratoriów. W uzasadnieniu napisano, że likwidacja stanowić będzie realne zagrożenie dla zdrowia mieszkańców naszych powiatów. Poprzez likwidację stacji i laboratoriów zostanie utrudniona dostępność do statutowych działań przepisanych PIS jak badanie wody, w zakładach usługowych, handlowych i produkcyjnych, kąpieliskach, basenach. Ponadto osoby chcące dokonać takich badań będą musiały dojeżdżać z odległych laboratoriów. W tej sprawie zajęła również stanowisko Rada Powiatu. W podpisanym przez przewodniczącego Zbigniewa Wróbla piśmie czytamy: Rada Powiatu wyraża ogromny niepokój i zdecydowany protest odnośnie zamiaru likwidacji Powiatowej Stacji Sanitarno - Epidemiologicznej w Lubaczowie.

Również Konwent Powiatów Województwa Podkarpackiego złożył zdecydowany protest przeciwko likwidacji części sądów rejonowych. Przekształcanie dotychczasowych sądów w wydziały zamiejscowe rodzi obawy, że po pewnym czasie zostaną one zlikwidowane. Projekt likwidacji jest zaprzeczeniem dostępności do organów wymiaru sprawiedliwości. - czytamy w petycji. W obronie sądu licząca około 50 osób delegacja z powiatu lubaczowskiego 16 marca wzięła udział w ogólnokrajowej manifestacji w Warszawie. Grupę tworzyli pracownicy sądu, samorządowcy powiatu, miasta, gmin.

Protesty te nie pozostały bez echa. I tak Wojewódzki Inspektorat Sanitarny powiadomił starostę, że działania wynikające z reformy w odniesieniu do wytypowanych powiatów na razie nie będą podejmowane. A więc „na razie”, czyli zakusy na likwidację pozostają.

Również minister sprawiedliwości „rozważa przesunięcie reformy sądów z lipca 2012 roku na styczeń 2013 roku.

Niestety za postępującą degradację prowincji nie bez winy są mieszkańcy powiatu. Za przykład niech posłużą wybory do parlamentu. Głosami również wyborców z naszego powiatu wygrywają wybory ludzie spoza naszego regionu. Przypomnijmy w poprzednich wyborach do parlamentu rekordową liczbę głosów w naszym powiecie zdobył Andrzej Lepper. Skala tego zjawiska w ostatnich wyborach była zaskakująca. Rekordzistą pod tym względem był Marek Kuchciński z Przemyśla. Trudno się dziwić, że dla takich parlamentarzystów sprawy prowincji są odległe i obojętne. Natomiast z dystansem z dezaprobatą odnieśli się mieszkańcy powiatu do miejscowych kandydatów. Po prostu w powiecie obowiązywała zasada: „Każdy byle nie stąd”.

Trzeba sobie jednak wyraźnie powiedzieć że degradacja powiatu odbywa się w dużym stopniu na własne życzenie. To nie województwo czy centrala doprowadza do upadku dobrze prosperujące Lubaczowskie Przedsiębiorstwo Budowlane. Nikogo nie obchodziło fatalne zarządzanie firmą, ewidentne przekręty mające w przedsiębiorstwie miejsce. Choć agonia firmy trwała od kilku lat nikt jednak nie uderzał na alarm. Po pro-

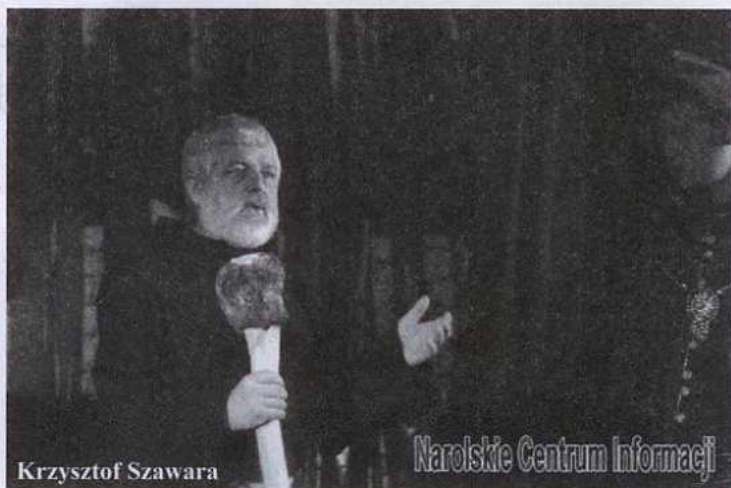
cd. na str. 4

cd. ze str. 1

Teatr amatorski „Florianum” w Narolu

liusza Słowackiego. Do współpracy, aby obsadzić wszystkie role, zaproszono kolejne osoby. Znaczącą zmianą było miejsce premiery – Centrum Koncertowo-Wystawiennicze w Narolu (obiekt byłej cerkwi na Krupcu), gdzie od maja 2011 odbywały się próby.

Tak duże przedsięwzięcie, jakim jest przygotowanie spektaklu (scenografia, kostiumy, rekwizyty, charakterystyka, itd) niesie ze sobą niemałe koszty. Ku zaskoczeniu zespołu do grupy osób i instytucji udzielających wsparcia, w tym roku dołączyły osoby, które same wystąpiły z chęcią pomocy – nie tylko finansowej. Premiera „Balladyny” J. Słowackiego odbyła się 7 lipca 2011 roku na inaugurację XII C.K. Jarmarku Galicyjskiego. We wnętrzu dawnej cerkwi ponad trzystu pięćdziesięciu widzów obejrzało kolejny spektakl amatorskiego zespołu, który pokazał własną wizję dramatu Słowackiego. Bogactwo problematyki, kunsztowna rozmaitość wiersza, niezwykle w wyrazie postaci dramatu sprawiają, że „Balladyna” jest jednym z najoryginalniejszych i najbardziej znanych dzieł Słowackiego. W role bohaterów świata fantastycznego i realistycznego wcielili się: Sabina Szularz (Balladyna), Dominika Zdybek (Alina), Marta Chodasiewicz (Wdowa), Tomasz Pawelec (Kirkor), Andrzej Kołodziej (Kostryn), Krzysztof Szawara (Pustelnik), Marek Pudelko (Grabiec), Konrad Nowosiwiat (Wawel), Małgorzata Kołodziej (Goplana), Katarzyna Gładzka (Chochlik) oraz Kornelia Gaczol (Skierka). Tworzeniem scenografii i rekwizytów zajęli się podob-



Krzysztof Szawara

nie jak przed rokiem Wiesław Ciećka, Grzegorz Wajs, Konrad Kopczacki i Mariusz Szularz. Barwne i bogate stroje aktorów, odzwierciedlające styl ówczesnej epoki, zostały wykonane przez Bernadettę Wolańczyk, zaś Anna Nowicka pomogła w stylizacji postaci fantastycznych. O ostateczny wizerunek postaci zadbała Magdalena Dzida, wykonując wyraziste makijaże, które wyśmienicie ukazywały charakter postaci.

Muzykę do sztuki skomponował Grzegorz Patałuch, a partie solowe wykonała Dominika Zdybek. Spektakl wyreżyserowały: Dorota Szularz, Elżbieta Wajs i Sylwia Świętojańska. Nad całością przedsięwzięcia czuwał Krzysztof Świętojański, który ponadto opracował programy teatralne oraz plakaty i sprawował pieczę nad oprawą medialną przedsięwzięcia. Spektakl nagrodzono gromkimi brawami i owacją na stojąco przez widzów, licznie wypełniającą Centrum Koncertowo-Wystawiennicze.

Uczestnikami jednego z kolejnych spektakli byli uczniowie szkół gimnazjalnych w gminie Narol na który przybyli również uczniowie Liceum Ogólnokształcącego w Lubaczowie. Akorzy zmobilizowani ciepłym serdecznym przyjęciem przez publiczność przygotowują się do kolejnej premiery. Tym razem będzie to spektakl oparty na utworach „Dziady” oraz „Ballady i Romanse” Adama Mickiewicza.

Zespół teatralny tworzą ludzie różnych zawodów. Jeden z głównych aktorów Krzysztof Szawara już drugą kadencję pełni funkcję przewodniczącego Rady Miejskiej w Narolu, a jego córka Anna też członkiem zespołu jest studentką. W zespole mamy kilku pedagogów, bibliotekarkę, urzędnika, uczni naralskiego Gimnazjum: Tomasza Pawelca, Małgorzatę Kołodziej Dominikę Zdybek, Justynę Nisztuk i Kornelię Gaczol. Z kolei Adrian Kicka i Marek Pudelko to absolwenci Gimnazjum w Łukawicy.

Sukces narolskiego teatru winien być inspirujący dla sąsiednich gmin w naszym powiecie. Wprawdzie najłatwiejsze jest sprowadzanie zespołów z zewnątrz, płacąc przy tym duże pieniądze, ale o wiele cenniejsza w kulturze jest twórczość rodzima. Własny zespół teatralny to najbardziej autentyczny i wychowawczy przejaw działalności kulturalnej. To egzamin siły woli u aktorów i niesamowite przeżycie dla widzów. Entuzjastyczne przyjęcie jest tego najlepszym dowodem.

Marian Ważny

DEGRADACJA POWIATU

stu panowała zasada: moja chata skraja". Władze wszystkich terenowych szczebli były beczynne gdy padała mleczarnia, zamki czy inne zakłady.

„Samorząd domaga się przekazania mu zadań i pieniędzy, ale jak już je ma popełnia ten sam błąd co góra - uznaje, że obywatele nie są mu potrzebni do podejmowania decyzji, na co te pieniądze będą wydane” – pisze prof. Michał Kulesza.

Nie dość, że powiat jest mały, to jeszcze nie stanowi jednego organizmu. Związek Gmin jest fikcją. Nie ma mowy o jednej spójnej strategii i współpracy między samorządami. Spelzły na niczym zabiegi powiatu do wybudowania wspólnym wysiłkiem powiatowego wysypiska i segregatorni śmieci. W rezultacie odpady wożone są do oddalonych o kilkadziesiąt km od Lubaczowa Młynów koło Radymna.

Ujemnym zjawiskiem jest urzędnicze zabetonowanie kadrowe samorządów. Nie ma przepływu świeżej krwi. Młodzi zdolni i wykształceni nie mają szans na pracę w powiecie. Dlatego też emigrują i to najczęściej na zawsze. Tymczasem aby we współczesnych realiach nie zostać w tyle, niezbędna jest stała aktywność, konieczność podejmowania nowych inicjatyw i energia. Trudno ją natomiast wykrzesać u ludzi od wielu lat zakotwiczonych na stanowiskach. Jednostki które mają aspiracje ten stan zmieniać zaszklawieni bywają do grona rozrabiaków.

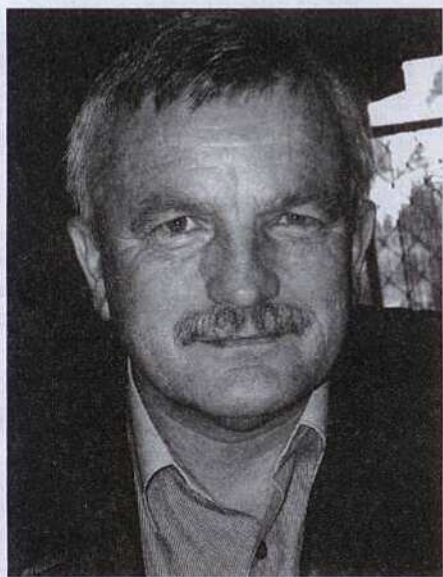
Powiat jak nigdy dotąd zasobny jest w ludzi wykształconych i z inicjatywą. Ten cenny kapitał społeczny póki co nie jest w pełni wykorzystywany. A przecież to oni mogliby skutecznie przełamywać marazm, stagnację.

W Polsce powiatowej wszyscy wszystkich znają i nikt nie chce się wychylać – pisze publicysta „Przeglądu” - O ile działanie centralnej administracji rządowej są pod jakimś słabym ale realnym nadzorem mediów i opinii publicznej, o tyle na poziomie lokalnym często panuje zмова milczenia. Należy więc demaskować i rozliczać nieudaczników, którzy z regionalnych urzędów publicznych zrobili sobie prywatne folwarki z własnym dworem i klakierami.

Oczywiście błędy popełniane przez samorządy nie rozgrzeszają władz centralnych od dyskryminacyjnego kursu wobec małych ośrodków. Rzecz tylko w tym że powiaty i gminy winne przejść do bardziej zdecydowanej kontrofensywy. Pozytywnym przykładem w tym względzie może być wspomniany udział naszej delegacji w manifestacji w obronie sądów. Warto więc w obronie powiatów jednoczyć siły, szukać sprzymierzeńców. Zabrzmi to może niedorzecznie ale to realne zagrożenie, próby obskubywania powiatu mogą wyzwolić energię, pobudzić lokalny patriotyzm i pomóc w zwarcu szeregów.

Marian Ważny

Wysła ludzi do Norwegii



Marek Górski urodził się w Opace, aktualnie jest lubaczowianinem organizującym wyjazdy mieszkańców powiatu lubaczowskiego do Norwegii.

Co zainspirowało pana do podjęcia się takiej nowej i zarazem trudnej roli?

Działalność tę jeszcze w poprzedniej dekadzie rozpoczął Jan Kowal z Cieszanowa. Znajomość języka angielskiego pozwoliła mu wejść w kontakt z Norwegami. Dołączyłem wówczas do niego i poprzez powołane

Stowarzyszenie Wspierania Inicjatyw Lokalnych zaczęliśmy wspólnie organizować wyjazdy młodych ludzi na zarobek do Norwegii.

Aktualnie jednak sam pan organizuje wyjazdy?

W kolejnych latach nasze drogi z Janem Kowalem się rozeszły i już od 8 lat samodzielnie organizuje wyjazdy. Oczywiście chętnych nie brakuje. Jednak za wyjeżdżających ponoszę odpowiedzialność i jadą tylko ci, którzy dają gwarancję solidnej pracy. W rezultacie opinie Norwegów o Polakach są bardzo pozytywne. Mam głęboką satysfakcję, że grupie młodych ludzi stwarzam szansę zarobienia pieniędzy i ułożenia sobie życia.

Jakie to są prace?

Najczęściej w dużych gospodarstwach rolnych. Jest to tym bardziej uzasadnione ponieważ wysyłani przez nas ludzie w większości rekrutują się ze wsi. Dysponują więc doświadczeniem i predyspozycjami do pracy w rolnictwie i tym samym mogą sprostać oczekiwaniom Norwegów. Oczywiście wyjeżdżający trafiają i do innych zawodów. Przykładowo aktualnie dwóch z nich pracuje jako operatorzy koparek.

Kim są wyjeżdżający?

Jak wspomniałem najczęściej rekrutują się oni z mieszkańców wsi. Wśród nich coraz częściej są kobiety. W Norwegii pracują jako kucharki ale i one również trafiają do gospodarstw. Odnotowujemy przypadki, że nasze dziewczyny wchodzą w związki małżeńskie z Norwegami i oczywiście

tam pozostają. Miło mi, że od tych ludzi otrzymuje mnóstwo listów. Są zadowoleni i wdzięczni, że pomogłem im w życiowej stabilizacji.

W skali roku z mojej poręki do Norwegii trafia około 20 osób. Jest to mało ale i dużo zarazem gdy zważymy rangę takich wyjazdów. Wiadomo surowy klimat, liczy się zdrowie i predyspozycje do solidnej pracy. To wszystko narzuca daleko idącą selekcję wśród wyjeżdżających. W tym roku wyjechało już 10 osób. Wśród nich jest kilka dziewcząt oraz mężczyźni mający zawód cieśli, operatora koparek i murarz.

Niezależnie od organizowania wyjazdów zaangażowany był pan w lokalną politykę występując jako lokalny lider Samoobrony?

To prawda pracowałem w tej organizacji. Mamy demokrację i każdemu wolno zrzeszać się w organizacji, która służy i pomaga ludziom. A za taką uważałem „Samoobronę” pomagającą rolnikom. Niestety za błędy popełnione przez kierownictwo tej partii zapłacili jej działacze i członkowie w terenie. Prawdą jest też że za działalność w tej partii, zupełnie niesłusznie, na naszym podwórku spotkały mnie konsekwencje.

Jakie?

Nie chciałem tego tematu rozwijać. Po prostu straciłem pracę w jednostce podległej Starostwu. W moim odczuciu, w naszym powiecie za dużo jest politykierstwa i szufladkowania ludzi według ich poglądów. Dla mnie pozytywnym przykładem jest wójt gminy Lubaczów Wiesław Kappel, u którego liczy się tylko profesjonalizm i zaangażowanie w pracę.

Ale pasje społecznikowskie pozostały?

Jestem członkiem Powiatowej Rady Zatrudnienia. Angażuję się w pracę samorządów. A o mojej pozycji jako działacza może zaświadczać m.in. Brązowy Krzyż Zasługi nadany przez prezydenta RP, Złota Odznaka PZHGP.

A więc jest pan również pasjonatem gołębi?

Pełniłem przez 18 lat funkcję prezesa oddziału lubaczowskiego Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych. A przez trzy kadencje byłem członkiem Zarządu Wojewódzkiego PZHGP w Rzeszowie. W wyniku moich starań kupiony został samochód z przyczepą. A w Urzędzie Miasta uzyskaliśmy działkę na której stoi nasz obiekt.

A czy pan też jest hodowcą gołębi?

Oczywiście. Chociaż mieszkam w bloku, to na ulicy Szopena mam wybudowany dla nich obiekt w którym mam około 100 gołębi. Należy pamiętać, że ich utrzymywanie wiąże się z kosztami. Trzeba dla nich kupować karmę. Ptaki te to moja już od dzieciństwa wielka pasja. Ponadto w domu mam pięć kanarków.

Rozmawiał Marian Ważny

Por. pil. Jan Fusiński (1920-1943) - cz. 2

Z Francji do Anglii

Przypomnijmy z części 1-szej zamieszczonej w poprzednim wydaniu „Kresowia”... 19-letni Janek Fusiński (syn Władysława F. z Lubaczowa z ul. Kościuszki) od 4 września 1939 r. tj. od momentu ewakuacji jego Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie, dążył do przedostania się do Francji gdzie słyszał, że formuje się polskie wojsko i w ramach Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie odradza się polskie lotnictwo. Z trudnością, przez rumuńskie Kuty i potem Tulceę, Sarighiol, Bałczik, Bejrut, Carpiagne, pokonując kilka granic, po prawie 5 miesiącach 23 stycznia 1940 roku dotarł do Francji. 27.01.1940 r. zgłosił się do Stałej Lotniczej Stacji Zbornoj w Septfonds - bazy Polskich Sił Powietrznych i rozpoczął służbę w lotnictwie pod francuskim dowództwem. Zderzył się tam jednak z brakiem sprzętu a przede wszystkim z brakiem ducha bojowego Francuzów. Atak Niemców na Francję obnażył jej słabość. Po kapitulacji Francji 22.06.1940 r. wśród ogólnego zamętu i dezorganizacji, doznaną kolejnych rozczarowań, 28.06 opuścił Francję i wylądował na Wyspach Brytyjskich. 1.07.1940 r. w bazie lotniczej w Blackpool nad Morzem Irlandzkim już trzeci raz w swym niespełna 20-letnim życiu rozpoczął służbę w lotnictwie, tym razem od 5.08 wszedł pod dowództwo brytyjskie. Został wysłany do polskiego obozu sił powietrznych w Weeton („Polish Air Force Camp, RAF Station, Weeton”). Od 23.01.1941 jest znów w Blackpool. Tu w Anglii warunki i duch bojowy Anglików oraz stosunek do polskich żołnierzy były dobre. Oczekiwanie na pierwsze loty bojowe było ogromne. 18.03.1941 r. został skierowany na szkolenie w „1 Polish Elementary Flying Training School, RAF Station, Huskall”.

7.05.1941 r. skierowano go do jednostki w Walii gdzie kwaterował w miejscowości Pwllheli-Penrhos i od 12.05 uczył się i szkolił w tamtejszym ośrodku szkoleniowym „9 Bomber and Gunnery School, RAF Station, Penrhos”. W trakcie pobytu i szkolenia Janek zaprzyjaźnił się z córką brytyjskiego kapitana, 19-letnią Dorothy Thompson. Był to w jego życiu najpiękniejszy okres, zaistniały bowiem obok siebie dwie jego największe miłości: ta od dawna - samoloty, i ta nie tak dawna - Dorothy.

Oto fragmenty dot. Jana Fusińskiego pochodzące z „Dziennika” ppor. pilota z eskadry bombowców - Witolda Jaroszyka (z Mławy), spisane w Pwllheli-Penrhos w zeszycie do ćwiczeń kursu lotniczego, a który to zeszyt po wojnie otrzymała rodzina Jaroszyka i uostępniła prasie:

„-12 V 1941, Pwllheli - Penrhos (Walja); Rozpocząłem uroczy pobyt w pięknej Walii. Przyjechałem tutaj z dwoma kolegami, Jasiem Fusińskim i Witkiem Bystrzyńskim. Mieszkam z Jankiem w najpiękniejszej willi tej miejscowości u gościnnych Walijszczyków. Zapowiadają nadzwyczajnie.
-21 V 1941; Życie tutaj jak w bajce. Wozimy na „Battle” [czyt.: uczymy latać na Fairey Battle - lekkich bombowcach] uczniów angielskich, uczących się bombardować i strzelać. Dużo wolnego czasu, dom prawie że rodzinny, dobre jedzenie. Czuję się arcywspaniale. W ciągu tego tygodnia naprawdę moralnie odpocząłem. Wpłynął być może na to w znacznym stopniu czysty, zdrowy klimat, różniący się znacznie od zadymionych okolic Nottingham. Pierwszy raz w Anglii spotkałem tak subtelnych i gościnnych Anglików tzn. moich gospodarzy - Jones (starsze małżeństwo), którzy nas z Jankiem uważają za członków rodziny.
-24 V 1941; Naprawdę ci ludzie tacy dobrzy są dla nas, tyle serca nam okazują, że nie wiemy doprawdy z Jankiem, w jaki sposób się odwdziżyć. Na lotnisku również przyjemne stosunki, dobrze latamy z Jankiem i Anglicy nas bardzo szanują. Witek B. został przeniesiony w inne miejsce. Szkoda, trzymaliśmy się zawsze razem i nazwano nas nawet na lotnisku „trzema muszkietierami”.
-2 VI 1941; Dzisiaj wyjechał stąd Janek. Było mi bardzo przykro, bo zostałem obecnie samiuteńki.”

W. Jaroszyk (autor ww. zapisu) był rówieśnikiem Fusińskiego (też z 1920 r.), w dwa miesiące później, w sierpniu 1941 r. przydzielono go do 301 dywizjonu „Ziemi Pomorskiej”, zginął 27.03.1942 r. wraz z załogą swego Wellingtona strącony przez Niemców nad Düsseldorfem.

Od 4.07.1941 r. Janek F. kontynuował szkolenie w operacyjnej jednostce treningowej w „18 Operational Training Unit, RAF Station, Bramcote” a od 28.08.1941 r. służył w Polskim Dywizjonie Bombowym 300 („300 Polish Bomber Squadron”).

Rok 1941 to również rok, w którym Janek stracił ojca. Urodzony 10.08.1888 r. w Lubaczowie Władysław Fusiński (syn Jana i Anny Fusińskich z ul. Kościuszki 123) był funkcjonariuszem konnej formacji Policji Państwowej (ok. 1917 r. służył we Lwowie, potem m.in. w Książu Wielkim i prawdopodobnie w Sosnowcu gdzie mieszkał z rodziną. Po wybuchu II wojny światowej, we wrześniu 1939 r. wszyscy policjanci w obawie przed aresztowaniem przez Niemców ewakuowali się na wschód. Naturalnym dla Władysława kierunkiem był Lwów. Po zajęciu Lwowa przez wojska sowieckie, ponieważ był przedwojennym policjantem, obawiając się (i słusznie) Sowietów, uciekł przed aresztowaniem do Lubaczowa. Ukrywał się w zabudowaniach u swego brata - Tadeusza przy ul. Kościuszki i u brata - Józefa (przy ul. Rejtana). W kwietniu 1940 r. został aresztowany przez NKWD, a w domu brata (przy ul. Rejtana) przeprowadzono rewizję. Był więziony w Lubaczowie a następnie w więzieniu nr 4 przy ul. Kazimierzowskiej (tzw. Brygidki) we Lwowie. W maju 1941 r. został zwolniony. Ciężko chorego Władysława rodzina przewiozła do Lubaczowa. Opowiadał że był torturowany. Miał odbite nerki, liczne blizny, szczególnie na plecach. Gromadził mu się płyn (woda) w płucach i brzuchu. Okresowo przebywał w szpitalu w Lubaczowie. Zmarł dwa miesiące później - 7.07.1941 r. i został pochowany na lubaczowskim cmentarzu. [ad. aresztowania i śmierci: relacja E. Szajowskiego; M. Argasiński, Okupacja... s. 137; list A. Fusińskiego]



Nie wiadomo czy w tym czasie (połowa 1941 r.) Janek miał kontakt z wujostwem w Lubaczowie, czy otrzymywał stamtąd listy, lub od matki, czy od swego starszego o 3 lata brata Artura. Jeszcze 13.02.1940 r. w Septfonds (Francja) podając do akt adres ojca napisał, że ojciec mieszka w Lubaczowie przy ul. Rejtana 11 (a więc u swego młodszego brata Józefa F.). Czy i kiedy dowiedział o wszystkich wydarzeniach dot. jego ojca (ukrywanie się, aresztowanie) i o jego śmierci... tego nie wiemy. Prędzej czy później musiały to być dla 21-latka trudne chwile, tym bardziej że

na obczyźnie, z daleka od rodziny. Zapewne od munduru ojca, który Janek widział od maleńkości, od pracy - służby ojca w umundurowanej formacji, wziął się i jego wzór - marzenie o wojskowej służbie.

W swoim „Kalendarzyku pilota” Janek Fusiński notował wydarzenia i akcje bojowe, stąd wiemy że pół roku później, jeszcze jako podchorąży, w dniach 6, 8 i 10 stycznia 1942 r. latał bombowcem nad Brest, 15.01.1942 r. nad Hamburg (tu przerywał mu silnik ale szczęśliwie wrócił do bazy) a 6.02 znów nad Brest. Tak więc z 1942 rokiem zaczynało się to co lubił najbardziej - czynne działanie, walka. Był w tym dobry, został zauważony. O awansie na porucznika i o tym co się potem wydarzyło, opowiem następnym razem...

Adam Szajowski

Na dalekim Sybirze

Od wieków Sybir budził grozę jako miejsce zsyłki wielu Polaków. Wywożono kibitkami uczestników powstania listopadowego i styczniowego. Wiek XX to także czas polskich zesłańców na tę nieludzką rosyjską ziemię. Jednym z nich jest Jan Szawara z Łukawicy.

W jakich okolicznościach doszło do wywózki?

Dobrze pamiętam ten dzień 10 lutego 1940 r. bo miałem już wówczas 16 lat. Nad ranem, gdy jeszcze było ciemno w domu zjawili się NKWD i kazali się nam zbierać. Nie dano nam zbyt dużo czasu na spakowanie najbardziej potrzebnych rzeczy. Żołnierz oznajmił, że wystarczy zabrać żywność na tydzień. Byliśmy wszyscy bardzo zaskoczeni i przerażeni całą tą sytuacją. Wieziono mnie i moich rodziców, dwie młodsze siostry i babcię w ostry mróz przez Podemszczynę do pociągu w Lubaczowie. Na gospodarstwie zostały 3 krowy, 2 konie, zboże i dorobek całego życia.

Czy tylko Pana rodzinę wówczas wywieziono?

Łącznie z nami taki los w naszej wsi spotkał pięć rodzin. Oprócz nas były to dwie rodziny Łysakowskich, rodzina Edwarda Szawary i stryja Stanisława Szawary.



Ta wasza droga na Sybir nie była lekka?

Ciężko było. W Lubaczowie załadowano nas do bydłych drewnianych wagonów. W naszym było 9 rodzin. Pod ścianami drewniane piętrowe prycze. Okna zabite deskami tak, że nie widzieliśmyotorędy i dokąd jedziemy. Potem odbiliśmy je i mieliśmy już jakiś dostęp do światła. Na środku wagonu stał żelazny piecyk, na którym na zmianę gotowano. Raz dziennie wagon był otwierany i z dużego kotła

otrzymywaliśmy po chochelce rzadkiej wodnistej zupy. Żywność zabrana z domu już się kończyła, a my jechaliśmy dalej w nieznane. I tak dzień po dniu. Dłuższy czas jechaliśmy tunelem. Potem dowiedziałem się, że mijaliśmy Ural. W końcu pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. Był to Omsk. Tu załadowano nas na samochody. Po przejechaniu 180 km śnieg był tak głęboki, że w dalszą drogę wieziono nas saniami. Po wielu dniach ciężkiej podróży dotarliśmy do wsi Kuzniecowa. Tu sowieccy żołnierze zakwaterowali nas do drewnianych baraków. Po tygodniu zaczęło się rozdzielanie i rozwożenie nas do różnych miejscowości na Sybirze.

Gdzie wywieziono Pana z rodziną?

Nas wywieźli do osady Strychnino nad rzeką Irtysz. Zamieszkaliśmy w barakach z brusów w jednym pomieszczeniu razem z dziewięcioma innymi rodzinami. Chociaż był koniec marca, leżało dużo śniegu i trzymał silny mróz. W baraku wszystko zamarzało, doskwierał nam coraz bardziej głód.

Jak wyglądało tam na Syberii wasze codzienne życie?

Było bardzo ciężko. Po dwóch dniach dostaliśmy polecenie, że mamy iść z tatą do odległego o 6 km. lasu. Trzeba było wyjść z baraku o 6 rano, gdy było jeszcze ciemno i wracało się o zmroku. Marsz po sykim nie zamarzniętym śniegu był bardzo męczący. Pracowaliśmy przy ścinaniu drzew. Miejscowi pokazali nam jak to w takich warunkach robić. Drze-

wa trzeba było tak ścinać aby wszystkie upadały w jednym kierunku. Gdy drzewo upadło, ze śniegu widać było tylko trochę gałęzi, które odcinaliśmy. Oczyszczone pnie zabierano na sanie.

Wiem, że temperatury zimą na Syberii są bardzo niskie Jak to wytrzymywaliście?

Do pracy otrzymywaliśmy ciepłą odzież: walonki, kufajki. Ale i tak wiele osób miało odmrożenia. Z kolei latem było bardzo gorąco. Życie nie dawało roje komarów i pluskwy.

Wspomniał Pan o transporcie drzewa z tajgi koniem. Jak to było możliwe w tak głębokim śniegu?

Były zrobione koleiny, w których poprzez polewanie wodą robił się lód. Trzeba było z tej drogi odgarniać śnieg, bo ciągle nawiewało. Jeden koń był w stanie wywieźć bardzo dużo pni.

Jak wyglądał nadzór ze strony Rosjan?

Każdego dnia rano sowiecki żołnierz chodził po barakach i sprawdzał, czy się wyszło do pracy. W lesie kolejny żołnierz kontrolował, czy przy pracy jest się obecnym. Gdy ktoś był chory, to tylko zwolnienie od lekarza usprawiedliwiała nieobecność. Otrzymywało się je tylko na 3 dni i to w sytuacji gdy była wysoka temperatura ciała. Inne oznaki choroby w ogóle nie były brane pod uwagę. Po 3 dniach, gdy choroba nie ustępowała, należało znowu maszerować 3 km do lekarza albo wracać do pracy. Za spóźnienia też były kary.

Z pewnością było wiele trudnych dni tam na Syberii. Który z nich wspomina Pan najgorzej?

Był to dzień śmierci mojego ojca we wrześniu 1942 roku, który miał wówczas 51 lat. Wracając z pracy z oddalonego o 15 km od Strychnino lasu zmarł. Ktoś nas o tym zawiadomił i natychmiast z mamą pobiegliśmy do lasu. Obok stał już żołnierz z NKWD i nie pozwolił nam bliżej podejść. Zaczął grozić mi bronią krzyżując „ubiju kak sobaku”. Zacząłem się z nim szarpać i przepychać ryzykując, że mnie zastrzeli. Widząc mój upór i zawziętość w końcu pozwolił mi podejść do ojca. Nie pozwolono zmarłego wnieść do domu. Ciało ojca leżało na wozie całą noc przed barakiem. Rano razem ze strykiem pod eskortą żołnierza musieliśmy 18 km łodzią odwieźć ojca do powiatu. Mówiono, że w celu stwierdzenia przyczyny śmierci. Zaraz nocą musieliśmy wracać, aby zdążyć do pracy. Nigdy się nie dowiedziałem gdzie był pochowany. Po jakimś czasie przyszedł rachunek na 14 rubli za pogrzeb. Kwotę tę musiałem odpracować. Gdy zmarła babcia również ciało zabrano.

Do czego najtrudniej było się przyzwyczaić: siarczyste mrozy, ciężka praca, trudne warunki życia?

Do silnych mrozów, głębokich śniegów i ciężkiej pracy człowiek się powoli przyzwyczajał. Dokuczliwe były ogromne ilości pluskiew. A latem roje komarów. Najgorszą rzeczą był jednak głód. Ci co pracowali w lesie otrzymywali 1 kg chleba dziennie. Pozostali tylko po 40 dkg. Była też lura, po którą szło się o 2 – 3 godzinie w nocy do kolejki, bo mogło zabraknąć. Była to rybna zupa, w której pływała rybia głowa, kilka kawałeczków ziemniaka lub odrobina kaszy. Dolewało się wody, aby dla wszystkich starczyło. Za to płaciło się z tych paru groszy, które niby zarabialiśmy. Zamiast herbaty był „kpiatok” czyli gorąca woda. Suchy chleb braliśmy do pracy w lesie. Zamarznięty odgrzewaliśmy nad ogniskiem, aby można było zjeść. Każdy kawałeczek był szanowany. Do picia topiliśmy śnieg. Latem mama zbierała borówki, które smażyła bez cukru i czasem smarowaliśmy nimi chleb. Głód ciągle nam doskwierał, więc naszym największym marzeniem było najeść się do syta.

Dziękuję za rozmowę Zofia Makuch

Dalsze wojenne losy Jana Szawary w kolejnym numerze Kresowianka

Pozdrowienia od kard. Henryka Gulbinowicza

Pięknie dziękuje stary emeryt z Wrocławia za dar pamięci i nadesłanie na mój adres Nr 4 pisma „Kresowianka Galicyjska” Jestem Kresowianinem ale z Wilna. Gratulacje, że tak dobrze opisujecie rzeczywistość, w której żyć trzeba.

Proszę przyjąć ode mnie pozdrowienie, dar modlitwy i błogosławieństwa na dalszą pracę.

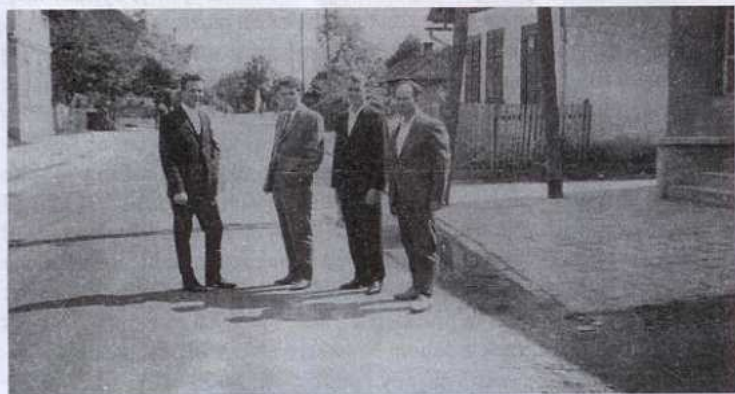
Szczęść Boże!

*Henryk kard. Gulbinowicz
Wrocław 25.IV.2012*

Kino w Lubaczowie (11- ost.)

Jaki duży telewizor

„Jako mała dziewczynka oglądałam w ciasno wypełnionej widzą sali cieszanowskiego Sokoła, podniesiona wysoko na ramionach ojca, nowość w Cieszanowie - objazdowe nieme kino. Mogło to być ok. 1927 r. Wrażenia i obrazy pamiętam do dzisiaj.” - tak pisze Cieszanowianka - Janina Szajowska w artykule „Ulica T. Kościuszki w Cieszanowie” (KG 8/2011).



W powojennym okresie przez kilkanaście lat cieszanowskie kino mieściło się w budynku „Sokoła” przy ul. Kościuszki. Seanse odbywały się w sali widowiskowej. Opowiada o tym Marian Ważny... „Na scenie był ekran a aparatura (szesnastka) ulokowana była na balkonie. Prąd do uruchomienia projektora wytwarzany był przez silnik spalinowy stojący niemal w korytarzu. Jego huk słyszalny był na sali i przeszkadzał w odbiorze dialogów filmu. Taśmy na skutek wielokrotnego używania były zniszczone co negatywnie odbijało się na jakości głosu i obrazu. W trakcie seansu była zawsze dłuższa przerwa na przewijanie i zakładanie nowej taśmy. W 1956 r. po elektryfikacji Cieszanowa ów silnik znikł. O ile pamiętam seanse leciały codziennie oprócz poniedziałku a w niedziele były dwa. Projekcje najczęściej odbywały się przy pełnej frekwencji i niejednokrotnie z braku miejsc nie dostałem się do wewnątrz i wracałem zawiedziony. Przed każdym seansem z taśm puszczane były popularne wówczas szlagiery. Ich słyszalność była doskonała niemal na terenie całego miasta. Przez pewien czas (badajże ponad rok) kino mieściło się w budynku „Proświty”. Pamiętam doskonale jak tam chodziłem (przypuszczalnie w sali „Sokoła” były remonty). W II dekadzie lat sześćdziesiątych kino zostało przeniesione do budynku dawnej apteki Bajorskiego przy ul. Sobieskiego 8 (obecnie po remoncie funkcjonuje tam Centrum Edukacji Ekologicznej), i dopiero tam w kinie „Roksana” została zainstalowana aparatura z prawdziwego zdarzenia. Kino w Cieszanowie było jedynym oknem na świat. Bywać w kinie wypadało, dlatego też widzowie dopisywali w komplecie. Można tu było spotkać wszystkie pokolenia: starych i młodych, załogi Państwowych Gospodarstw Rolnych (PGR) i mieszkańców pobliskich miejscowości.”

Pierwszym długoletnim kierownikiem cieszanowskiego kina był Józef Łucki, potem Marian Piwudzki, Krystyna Niemiec a następnie do czasu likwidacji kina w 1990 r., długoletni kinooperator - Zbigniew Potuczko. Pomocnikami kinooperatora byli: Czesław Przytuła i Marek Leśkiewicz. Pracownikiem kina był też Roman Mielnik a utrzymaniem porządku i czystości zajmowała się pani Łabisz. Na zamieszczonych fotografii przed kinem w Cieszanowie stoją (od lewej): Zbigniew Potuczko, Marian Piwudzki, NN i Roman Mielnik. Tu kilka zdań o najmłodszym z rodu Potuczaków - Zbigniewie... Naprzód pracował w kinie „Gwiazda” w Oleszycach. W tym czasie jak każdy młodziak został powołany do odbycia służby wojskowej do Warszawy. Po przysiędze i okresie rekrutkim, gdy zauważono jego umiejętności kinooperatorskie, został oddelegowany do obsługi kina ówczesnego Marszałka Polski Mariana Spychalskiego (ul. Klonowa 1), gdzie oprócz rodziny marszałka przychodziła cała generacja z rodzinami. Marszałkowa rozdawała dzieciom słodycze, drobne prezenty, książki - same nowości, wszystko to również dostawało się obsłudze kina, mnóstwo tego („gest marszałkowej”) przywoził Zbyszek do domu. Po wojsku pracował w Cieszanowie, naprzód jako kinooperator, potem i aż

do zamknięcia placówki przez cieszanowskie władze jako kierownik kina. Został bezrobotnym. Musiał sobie jakoś poradzić. Na bazie elektrotechnicznych umiejętności wyniesionych z rodzinnego domu w Lubaczowie (od ojca - Włodzimierza i starszego brata - Stanisława), zarabiał na utrzymanie naprawami RTV w całym powiecie. Był znany i lubiany w środowisku. Był ożeniony z Elżbietą Iwanek. Zmarł w 1993 r.

Wracając do Lubaczowa i do kina „Melodia”... Obecnie lubaczowskie kino „Melodia” to obsługa w składzie osobowym: **Bogdan Tabaczek** - pełniący obowiązki kierownika kina, **Elżbieta Szpyt** - kasjerka, **Stanisław Potuczko** - ½ etatu kinooperator [w trójkę na załączonej fotografii z 2012 r.]. Kino serwuje w tygodniu 9 seansów: w środę, piątek i sobotę po dwa, i w niedzielę trzy. W niedzielę są „poranki” dla dzieci o godz. 15. Czasami dla szkół są seanse dodatkowe, przedpołudniowe (ekranizacje lektur szkolnych, dzieła literatury polskiej, filmy ważne edukacyjnie itp.). W okresie ferii i wakacji na dodatkowych seansach kino wyświetla filmy dla dzieci. Powodzeniem cieszą się głównie wszystkie hity filmowe i filmy premierowe, a także te otrzymane w miarę szybko po premierze (zanim mniej lub bardziej legalnie zostaną oglądnięte na odtwarzaczach, kinach domowych).

Lubaczowskie kino „Melodia” z okresu gdy sala była pełna przez siedem dni w tygodniu było ewenementem, który pomimo dzisiejszych „udoskonaleń” (a w wielu miastach wyburzających budynków i sal kinowych) nie wiadomo czy się jeszcze powtórzy. Takie napelnienie sali kinowej należy już do przeszłości w każdym polskim mieście. Dzisiejsze sale (nie tylko w Lubaczowie) okresowo świecą pustkami. Ale, nawet gdy jest krucho z widownią, w „Melodii” nie ma jakiejś generalnej zasady odwołania seansów z tytułu małej ilości widzów. Gdy o to spytałem, od ręki mnie sprostowano: „U nas bez żadnych odgórných limitów... tu się szanuje każdego widza!” Brawo!

Są ludzie którzy lubią dobry film i są w „kinie prawdziwym” (a nie w „kinie domowym”) zakochani. Są wśród nas. Jedną z takich osób jest Anna Potuczko Wójcik - siostra dwóch lubaczowskich kinooperatorów (braci Potuczaków), która w rozmowie dyskretnie przyznaje: „...ja kocham Kino!... nadal...”.

Mocno zachęcany przeze mnie do wypowiedzi, Stanisław



Potuczko zwraca uwagę na kreatywność zawodu: „Praca w kinie korzystanie wpływa na rozwój osoby, która się tym para. Filmy edukacyjne, dokumentalne i dokumentujące, mimochodem kształcą i poszerzają zasób wiedzy. Młodzi chłopcy którzy byli zatrudniani na pomocników operatorów byli szkoleni i kierowani na kursy i nie tylko z kinotechniki. Zdobywali wiedzę radiotechniczną, elektroniczną, z dziedziny mechaniki i optyki, i nawet zmieniając pracę stawali się w innym miejscu cenionymi pracownikami.”

Na pytanie - czy z tej pracy ma satysfakcję, odpowiada: „A cóż można chcieć w moim wieku, gdy się dojdzie do pracy i szczęśliwie wróci to już jest powód do dumy, ale tak na poważnie... no pewnie! Odczuwam satysfakcję niczym reżyser spektaklu... satysfakcję z frekwencji widzów na filmie. Gdy sala jest napelniona, i gdy wszystko leci bez przeszkód, i gdy

Jaki duży telewizor

bezawaryjnie działa aparatura, to i ja się cieszę i chce się żyć. Bo pomimo że jest się na górze w operatorce, to telepatycznie czujemy zadowolenie widzów i gdy seans „wypali”. Kochamy kino i kochamy naszą pracę. Jej przecież poświęciliśmy nasze życie. I kino i my - jesteśmy dla widza, nie odwrotnie, i zawsze miałem i mam tego świadomość. Cieszymy gdy nasz klient, ten „mały” i ten „duży” jest zadowolony. Najbardziej radośnie i spontanicznie reagują dzieci, co i nam - pracownikom się udziela. Dzieci zawsze są radością ale trzeba je widzieć w kinie. Trzeba np. zobaczyć jak przychodzą maluchy do kina... przychodzą pierwszy raz i z zaciekawieniem i z szeroko otwartymi oczami i otwartą buzią, z zadowoleniem i z zaskiwieniem jednocześnie, wskazując na ekran mówią: „Mamusiu, Mamusiu, Mamusiu! Popatrz jaki duży telewizor!”

Cykl 11-tu artykułów nt. historii lubaczowskiego kina oprac. m.in. w oparciu o: relacje Anny Potuczko Wójcik, Stanisława Potuczko, Marii Jagodzińskiej Bukowej, Mariana Kopfa, Eugeniusza Szajowskiego (1913-2011); M. Kopf, Tamten czas. Cz. II, „Rocznik Lubaczowski”, t. VII, Lubaczów 1997; J. Tabacek, Ulica Juliusza Słowackiego, „Jednodniówka”, Lubaczów 2008; Kazimiera Krzyszkowska, Helena Olearnik (1915-2009), „Jednodniówka”, Lubaczów 2009; relacje Janiny Szajowskiej (KG 6 i 8/2011) i Mariana Ważnego.

Adam Szajowski

Warsztaty naukowe w Cieszanowie

29 kwietnia br. Towarzystwo Rolnicze w Cieszanowie wspólnie z Instytutem Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa – Państwowym Instytutem Badawczym w Puławach zorganizowało warsztaty naukowe pt. *Zrównoważone gospodarowanie w produkcji rolniczej*. Oprócz członków Towarzystwa i rolników z gminy Cieszanów wzięli w nim udział pracownicy Podkarpackiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Boguchwale oraz Okręgowej Stacji Chemiczno-Rolniczej w Rzeszowie. Wykładowcami byli pracownicy Zakładu Systemów Ekonomiki Produkcji Roślinnej IUNG – PIB w Puławach: prof. dr hab. Adam Harasim, dr Mariusz Matyka i dr Janusz Smagacz. Wygłoszono cztery referaty obejmujące zagadnienia nowych trendów w uprawie roli, zrównoważonego gospodarowania składnikami nawozowymi, ryzyka jako elementu działalności rolniczej i rachunku ekonomicznego w gospodarstwie rolniczym. Na wyraźne podkreślenie zasługuje informacja, że takie wyróżnienie jako spotkało Towarzystwo jest wyłączną zasługą mgr. inż. Mariana Roga, któremu już kolejny raz udało się namówić swoich kolegów z okresu studiów na przyjazd do Cieszanowa. Prowadzący warsztaty wyrażali zadowolenie, że rozmawiali z praktykami a rolnicy mogli się zapoznać z wynikami kilkuletnich badań naukowych i dokonać porównania ze swoimi doświadczeniami

Edward Dziadula

KRESOWIAK GALICYJSKI

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9, tel. kom. 661 631 213
Wydawca: Wydawnictwo Kresowiak, Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25, tel. (017) 856 86 99

Redaktor naczelny: Marian Ważny

Zastępca redaktora naczelnego: Lidia Świder

Współpracują: Waldemar Balda, Wiesław Kołodziej, Renata Piątek, Tomasz Róg, Adam Szajowski, Zbigniew Wróbel, Jan Zuchowski, Edward Dziadula, Janina Szajowska, Ryszard Kaczka, Piotr Zaborniak.

e-mail: kresowiakgalicyjski@wp.pl

Prenumeratę Kresowiaka Galicyjskiego przyjmują jednostki „Ruch” S.A.

Druk: Drukarnia KOLOR-DRUK, 37-500 Jarosław,

ul. Podzamcze 28b, tel./fax: (016) 621 62 31, www.kolordruk.com.pl

e-mail: kolordruk@onet.pl

WOJENNA TUŁACZKA 11 (śmierć męża)

Pielęgniarki i siostry zakonne, były przemęczone, więc z miasta do pomocy zgłosiło się kilka pań i dostałam taką kartkę, przepustkę na nazwisko jakiejś niewiasty, która nie mogła się już dłużej opiekować rannymi. Przychodziłam na noc do czuwania nad chorymi, którzy byli w tej izbie razem z moim mężem. Żyłam nadzieją, że doktor wyjmie kulę, która zraniła mojego męża. Odwiedzali męża koledzy pocztowcy, przynosili papierosy, które rozdawałam innym rannym, bo mój mąż nie palił. Kapelanem szpitalnym był ksiądz Lewalski, nasz znajomy, był dawniej w Cieszanowie wikarym, więc i on też odwiedzał męża, a ja wyszłam po nocnym dyżurze. Szłam do kaplicy z zakonnymi siostrami na mszę świętą, prosiłam Boga o zmiłowanie nad nami i o zdrowie dla męża. Wkrótce pojawili się obaj starsi synowie Staszek i Janek oraz pan Niemiec. Byli pod Bubnowem, ale przed nalotem bombowców odeszli w stronę kolonii aby coś do zjedzenia sobie kupić. Wracali gdy zaczął się nalot, więc się ukryli, upadając w polny rów. Wracając do nas się rozłączyli. Janka z towarzyszem pojмали ukraińscy bojówkarze i mieli zamiar ich rozstrzelać ale w pewnym momencie ludzie zaczęli w popłochu uciekać krzycząc „Lachy idut”, więc bojówkarze też uciekli i tak Janek ocalał. W istocie był to jakiś oddział wojska polskiego.

Z kolei Staszek z panem Niemcem idąc przez las napotkali jakąś ruską kobietę, która prosiła aby pomogli jej, bo zabłądziła i nie wiedziała którądy iść aby trafić do swojej wioski. Oznajmili, że właśnie idą w tym kierunku i zaproponowali jej aby szła z nimi. Nagle zostali zatrzymani przez ukraińskich bojówkarzy i bez zwłoki postanowili Staszka i Niemca rozstrzelać. Wówczas ta kobieta ujęła się za nimi, mówiąc że oni pomogli odnaleźć drogę do jej wioski. Ukraińcy puścili Staszka i Niemca. Tak nie wiedząc o sobie bracia doszli do Kowna. Idąc ulicami spotkali się przy narożniku ale o nas nic nie wiedzieli. Po paru dniach pobytu w Kowlu wsiedli do pociągu który miał przez Sokal jechać na Lubaczów. W wagonie usłyszeli rozmowę dwóch Żydów, którzy opowiadali sobie „naczelnika poczty z Cieszanowa bandyci poranili i jest w Sokalu w szpitalu”, było to w Sokalu, gdy pociąg stał na stacji. Słyszając to natychmiast wysiedli z wagonu i przyszli do szpitala, gdzie znaleźli ojca.. Uradowaliśmy się oboje widokiem żywych, całych i zdrowych synów, wszyscy płakali.

Urządziliśmy aby Staszek z Kaziem pojechali do Cieszanowa i może uda się im znaleźć jakąś furmankę, żeby po nas do Sokala przyjechała. Janek z Marianem zostali przy mnie. Konie którymi odbywaliśmy całą ucieczkę, zaraz po umieszczeniu męża w szpitalu zabrali pocztowcy z Oleszyc i odjechali. Do naszej gospodyni, u której mieszkaliśmy przyjechała z Włoch córka z mężem, też uciekali przed Niemcami, musieliśmy się więc ustąpić. Zamieszkaliśmy u pani, której siostrzenica była nauczycielką w Cieszanowie i z którą dobrze się znałam. 28 września Staszek z Kaziem pożegnali się z ojcem i pociągiem wyjechali w stronę Ci. Ja spędzałam czas w szpitalu. Noce w szpitalu były okropne. Ranni bardzo cierpieli. Jęki było słychać nawet zza zamkniętych drzwi.. Opiekowałam się tylko tymi którzy byli w naszej izbie. Wszyscy bardzo cierpieli. Najspokojniej zachowywał się mój mąż, cierpiał ale nie jęczał. Przeważnie siedziałam przy nim i odmawiałam różaniec. Dr Pelech naczelnym dyrektorem szpitala nie chciał wyjąć kuli. Mówił gdy go prosiłam, że to nie pomoże a chory w czasie operacji może już na stole umrzeć.

W niedzielę rano pożegnałam się z mężem, mówiąc, że pójdę do kościoła modlić się bo dzisiaj w Cieszanowie jest wielki odpust, święto Matki Bożej Rożańcowej. W Sokalu przybywał wówczas p. Kwietniowski z Cieszanowa i on też interesował się nami, ale do męża do szpitala nie przychodził, bo miał jakąś nie uzasadnioną urazę do mego męża. Kiedy raz na ten temat przy spotkaniu wspominał opowiedziałam mu jak było w istocie i że tylko przez czyjąś złośliwość został źle poinformowany.

W niedzielę 1 października na obiad był rosół z kuty którą przyniósł p. Kwietniowski. Jeszcze ciepły rosół zaniósłam mężowi do szpitala. Już przy świetle jak zwykle, ale tylko do połowy umyłam go, bo nogi miał w bandażach ponieważ utworzyły się odleżyny. Zauważyłam, że mąż usypia, więc siedząc przy łóżku podtrzymywałam mu rękę, która wciąż spadała. Gdy byłam pewna, że usnął uspokoiłam się, wtedy przyszedł dyżurny medyk, mówiąc, że chory zasnął, ale on wziął go za rękę, spojrzał na mnie i powiedział: „Mąż pani nie żyje!”

Maria Studencka z Bernackich

W przedwojennym Cieszanowie (13)

Żydowscy fiakrzy

Aż do II wojny światowej w środowisku cieszanowskim współżyły w zdecydowanej większości w zgodzie i w miarę we wzajemnym poszanowaniu - trzy nacje. W swoje święta każdy szedł w swoją stronę (kościół, cerkiew, synagoga) a w domach każdy budował swój „ołtarzyk”. W klasach szkolnych uczyli się razem Polacy, Rusini i Żydzi. Dzieci te (siedziały w ławkach obok siebie) cechowała w miarę poprawna wzajemna przyjaźń i tolerancja. Używam słów „w większości”, „w miarę” ponieważ (miejmy to odwagę powiedzieć) stosunki dzieci żydowskich z dziećmi pozostałymi (i odwrotnie) jednak nie były do końca równoważne. Jak to w szkolnym gronie uczniowskim bywa, robiono sobie nawzajem psikusy i kawały, ale m.in. to nasi chłopcy i Rusini, byli skłonni ciągnąć żydowskich chłopców za pejsy a nie żydowscy chłopcy naszych. Można powiedzieć - drobiazg, ale tych drobiazgów było więcej, były i inne postępowania czyniące Żydom zło, choć wówczas mieszczące się w „normie” tamtego wzorca wzajemnego współżycia. W każdym bądź razie to co w tych kontaktach uchodziło wtedy, nie mogłoby mieć miejsca i być akceptowane dziś.



Żydów potocznie w Polsce (i w naszym regionie) nazywano „parchami”. „Parch” - jako coś nieakceptowanego na zdrowym organizmie, w sensie przenośnym jako słowo wyrażające domniemane negatywne i odnoszące się (niesłusznie) do Żydów cechy, w których (a nie w sobie i we własnej nacji) niesłusznie upatrywano źródło nieszczęść i niepowodzeń. Z przekazu ludzi starszych wiadomo, że w złości mówiono: „Ty parszywy Żydzie!”. Z całą pewnością było to już wtedy i byłoby i dziś niewłaściwe. Chrześcijanin nie może wyznawać antysemityzmu rasowego, tak jak nie może zapominać, że właśnie Żydami byli Syn Boży i Matka Boża, Żydami byli prorocy, apostołowie i pierwsi chrześcijańscy męczennicy. Ludzie z kolebki naszej religii nie mogą być zatem uważani za niższych czy wrogich. Tak jak za niższych czy wrogich nie powinni być uważani wszyscy pozostali. Nasz stosunek do Żydów był i jest próbą siły chrześcijańskiego ducha, a chrześcijaństwa nie da się pogodzić z kulturem złości i nienawiści. Czyż nie tak?

Żydzi używali dużo cebuli i było wiadomo że „pachnieli” cebulą, a nie wszystkim ten zapach się podobał. Ale czy w innej cieszanowskiej czy wiejskiej chacie tak bardzo pachniało? W tamtych czasach nie było, nie używano szczoteczki i pasty do zębów, zwykle przepłukanie garścią wody z sekundowym bulgotaniem w gardle i wypłuciem miało wystarczyć i Żydom i rzym.- czy gr.- katolikom. Z argumentem czystości też nie da się przesadzać bo przed wojną w Cieszanowie to Żydzi a nie kto inny mieli za kościołem w stronę bożnicy łaźnię, i z niej korzystali a nawet udostępniali innym. Pozostała społeczność w większości miała tylko wiadro i miednicę. Z tej łaźni za opłatą mogli też korzystać katolicy (był w niej zatrudniony przez Żydów, pochodzący z Moszczanicy Józef Witko).

Wracając do wymieniania sklepów i usług prowadzonych w Cieszanowie przed wojną przez Żydów... W ciągu kamienic naprze-

ciw kościoła i do skrzyżowania z ul. Mickiewicza m.in. handel prowadził **Köenig**, a kamienicę z piwiarnią miał **Schmuckler**. W swoim zakładzie fryzjerskim obywateli miasta (dzieci również) strzygli: **Leizor Fiedler** i **H. Hoch**. Fiedler mieszkał przy zach. stronie Rynku naprzeciw byłej studni (jak dziś przy parku ośrodek - przychodnia). W oknie były podwojnie zamykane ościeżnice. Miał budkę fryzjerską przy deptaku od strony wschodniej. Potem fryzjerem był też Franciszek Pałczyński. Chłopców strzyżono ręczną maszynką na bardzo krótko, od dołu niemal po szczyt głowy i tak, że tylko na czubku ocalał zaledwie skromny wiecheć włosów. Wszystkich zaczesywano na bok i z wyraźnym przedziałkiem. Żydzi nie prowadzili fryzjerstwa damskiego.

W głębi ul. Mickiewicza był sklep z towarami mieszanymi i mieszkanie Żyda „**Wajnyka**” a na końcu ulicy przed „**Wygonem**” samotnie stał drewniany domek Żyda „**Judki**”, który od idących z Nowego Siola i Gorajca chłopów i bab targował i kupował drób. Prawdopodobnie i „**Mota**” i „**Wajnyk**” i „**Judka**” były to ich przydomki (o ile nie przezwiska). Mój dziadek wypiekał bożonarodzeniowe opłatki. Paczki opłatków w których było po 4, 8, 10 lub 12 szt. wiązano opaskami ze zwykłego lub kolorowego papieru, niektóre (te przewidziane dla rodzin inteligentnych i dworów) paskami papieru srebrnego i złotego. Papiery te kupował właśnie w miejscowym żydowskim Sklepie Towarów Mieszanych, taki był za kościołem, drugi prowadził ww. Wajnyk na Dworskiej. Przy południowej stronie Rynku w ciągu zabudowy zaczynającej się od kościoła, w jednym z budynków była cukiernia **Teppera**. W Rynku przy deptaku stały budki handlowe (pod dachem i z wejściem do środka) i w jednej z nich „**Adelcia**” miała cukiernię ze słodczymi.

Przy ul. Kościuszki za domem Żdana „**Kapuczki**” był dom Żyda **Rottera** (kupił go Józef Gajerski, którego domek kryty strzechą stał obok, za nim były domy: Piwódkich (pod dachówką), Furteków (pod gontem) i Gorzelników (pod dachówką).

Kursowali żydowscy fiakrzy - przewoźnicy świadczący stałe usługi przewozowe, regularny przewóz pasażerów. Były to wozy 4 kołowe z półkoszkami. W ten sposób obsłużona była trasa Cieszanów - Lubaczów i trasa Narol - Cieszanów. Fiakrzy byli także w Lubaczowie, Oleszycach i w Narolu, skrzętnie w miarę możliwości i okoliczności dzieląc terytoria świadczonych usług. Żydowskie konie fiakiarskie były drobne, niewypasione, a więc jakby zaniedbane i słabe, z ubogą uprzężą, zwyczajne i pospolite w wyglądzie jak zwyczajny i pospolicie wyglądający, i bez wyszukania w swym ubiorze i wyglądzie był fiakier Żyd. Cały ten komplet był jakby lichy i pasujący do siebie, ale taki był stan rzeczy wynikający z ogólnej biedy społeczeństwa - Polaków, Rusinów i Żydów. Zbiórka do fiakra była Cieszanowie w Rynku przed pocztą, a ta mieściła się w budynku sądu. Fiakier nawet gdy nie miał kompletu klientów, nawet jak się znalazły chętnie tylko 2-3 osoby, to jechał. Godził się na to byle był ruch w interesie, to jest by nie jechać na pusto, wychodząc z założenia że lepiej jechać i mniej zarobić niż w oczekiwaniu pełnego napelnienia godzinami stać i nie zarobić nic. Poza tym zawsze liczył na to, że w Lubaczowie trafi na chętnych z powrotem, co zrekomensuje mu zysk. Stałymi porami wyjazdu fiaków były godziny odjazdu i przyjazdu pociągów z lubaczowskiej stacji, kiedy to pojawiali się podróżni, często z bagażem, po których jeśli nie podesłano furmanki z rodzinnego domu, nie mieli poza fiakrami innej możliwości dotarcia do swoich odległych miejscowości (nie tylko do Cieszanowa). Na udanie się fiakrem do Lubaczowa nie było młodzież stać (50 groszy plus 50 powrót), chociaż czasami jak mieli wracać pusto, to wieźli też i za 25-30 gr. Dla takich chłopców były to kwoty niebagatelne, bo i skąd mieli je wziąć, chyba żeby „podebrać” z domu jajka od kury i sprzedać „**Wajnykowi**” z Dworskiej. Tak więc młodzi chłopcy fiakrom płacili mniej, a więc 25 groszy, podczas gdy inni - dorośli dwa razy tyle (wówczas kilo cukru to ok. 1 zł a kielbasy ok. 1.80 zł).

Nie ma w Cieszanowie Żydów i żydowskich fiaków. Dziś mamy taksówki, ale za pół ceny (?)... raczej się nie da, chociaż nie wolno mi wątpić w dobroć, bo wyrozumiali ludzie zapewne się zdarzają.

Historia na kołku

Zabójcze Miraże



Do powrotu do motywu przewodniego mojego felietonu historycznego, pomieszczonego w marcowym numerze „Echa”, skłoniła mnie lektura niezwyklej książki Mariana Ważnego „Zagończyk”, z wymownym podtytułem – oblędny taniec śmierci. Świetna pozycja ze sfery literatury faktu.

Drobiazgowo skonstruowana, dramatyczna opowieść o losach legendarnego partyzanta akowskiego, Tadeusza Czubyryta, przesiąkniętego mitami dziewiętnastowiecznego pojmowania patriotyzmu, zupełnie niepasującego do powojennych

realiów, jest swoistym studium wtłaczania marzeń w realną, polityczną rzeczywistość.

Te absurdalne marzenia, podsycane bez skrupułów przez władze emigracyjne i ich emisariuszy, utwierdzały w rzekomych patriotycznych wyborach zablakanych w dziejowych zawirowaniach, wojennych wędrowców donikąd. Roztaczali oni przed takimi zagończykami idiotyczne miraż Andersa na białym koniu i trzeciej wojny światowej. Że niby Anglicy i Amerykanie pójdą na wojnę z Rosjanami za zagończykową wizję niepodległej Polski i dlatego należy trwać na placu boju i mordować wszystkich, którzy inaczej myślą, albo działają na rzecz powojennej stabilizacji.

„Zagończyk” napisany jest z rzadko spotykanym w tym gatunku literackim zastosowaniem pełnego wachlarza środków wyrazu budujących nastrój, sielskość, grozę albo wręcz psychologiczne podłoże rozgrywających się, dramatycznych zdarzeń. Mamy tu do czynienia z wyrazistą, historycznie umocowaną konstrukcją portretów psychologicznych poszczególnych postaci tego historycznego dramatu. Ma to coś z klasycznej tragedii greckiej, w której wiszące nad bohaterami fatum prowadzi ich do nieuchronnej zagłady. Marian Ważny potrafił nawet do tworzenia stosownej atmosfery zaprząć wiejski koloryt, rozchwianą, dynamiczną witalność wsi i rozbijać siły natury.

Autor skupił się na okresie działalności Czubyryta w powiecie lubaczowskim po przejściu frontu. Zawartość książki obala kolejne mity tworzone przez bezkrytycznych apologetów AK, w tym również i tych z lubaczowskiego, którzy w mitologizacji tej formacji zbrojnej nie tylko wiele przemilczają, ale wręcz historyczną prawdę koloryzują i fałszują. Nie był to bowiem w tym czasie już żaden niepodległościowy monolit tkwiący na mocnym podłożu politycznym, lecz zbiorowisko partykularnych interesów, wyniesionych z konspiracji nawyków i różnorodnych ambicji.

Jedni bronili swojej ukształtowanej w latach okupacji pozycji, niektórzy regulowali porachunki osobiste, a jeszcze inni obawiali się konsekwencji ujawnienia rabunkowych inklinacji.

Postać zagubionego w nierealnych wyobrażeniach idealisty zagrażała jednym, drugim i trzecim. Przecież bronili własnej skóry, a to nie ma nic wspólnego z żadną rycerskością, honorem, Bogiem ani ojczyzną. Jest raczej splotem egzystencjalnych odruchów samoobronnych, w których nie ma miejsca na żadne romantyczne i bohaterskie porywy. Jakże tutaj niejednoznacznie prezentuje się poświęcenie grup zbrojnych AK w obronie ludności polskiej przed ukraińskimi nacjonalistami. Z jednej strony rabunkowe wyprawy po prowiant, i nie tylko, do wiosek ukraińskich z pewnością nie nastrojały dobrze rezonów. Z drugiej zaś podejmowane próby udanego współdziałania, a nawet korzystanie z gościnności UPA, też do noszenia ich z wdzięczności na rękach nie skłania. Cóż to mogło w tamtych mrocznych czasach nacjonalistycznych czystek mieć wspólnego z obroną narodowych interesów? Przecież to raczej zalatuje zdradą tychże narodowych wartości. A przynajmniej balansowaniem na jej trudnej do ustalenia granicy.

Całą, niezwykle donkiszoterię podziemia, zwanego nie wiadomo dlaczego niepodległościowym, ilustruje tragicomiczna akcja zdobywania radiostacji, której nie było. W drobiazgowo zaplanowanym ataku na radiodzieki samochód ciężarowy wzięto pod uwagę wszystko, tylko nie to, co trzeba. Nie sprawdzono czy ta radiostacja jedzie w tym samochodzie. Dla iluzorycznej wizji nieskrępowanego kontaktu ze światem zastrzelono 10 ludzi z tyłowych formacji sanitarnych wojsk radzieckich, w tym dwie kobiety. Zdobyto jedynie ich dokumenty osobiste. Za to bohatersko ranna została legenda lubaczowskiego podziemia, które później grzmiało na brutalność NKWD w jego zwalczaniu. Ciekaw jestem czy kiedykolwiek istniała i istnieje na świecie jakaś armia, która cacka się z wroga do siebie nastawioną partyzantką na swoim zapleczu? Ja takiego przypadku nie znam.

Frustracje i odrealnione postrzeganie stabilizującej się rzeczywistości powojennej ilustruje bezsensowny wyrok śmierci na dwóch cieszanowskich filarach własnej formacji. Wina jednego polegała na tym, że miał chroniczną słabość do wdzięków płci nadobnej, a drugiego, że był jego przyjacielem. Kobięciarz był z otwartymi ramionami przyjmowany przez radziecką obsługę żeńską radiostacji w zamian za dokarmianie. To wystarczyło do wyroku śmierci za zdradę, chociaż nie było nawet cienia dowodu na to. Jak to się ma do peanów na cześć niezwyklej zalet duchowych? Jest w tej książce jeszcze jeden symbol czasu pogardy i nienawiści. To finałowa scena zastrzelenia przez swoich Zagończyka, a zwłaszcza bestialskiego mordu na jego dziewczynie Natalii. Odrażające zezwierzęcenie i jakaś niezwykła u normalnych ludzi chęć upodlenia nawet zwłok wskazuje na to, że morale tego ugrupowania legło w gruzach tak samo, jak i niczym nieuzasadnione miraż patriotyczne głównego bohatera. Miał ambicje zostać obrońcą narodu, a nie potrafił obronić nawet swojego nie-narodzonego potomka oraz własnej partyzanckiej godności.

Roman Małek

Recenzja zamieszczona
w miesięczniku „Echo Rzeszowa”
maj 2011

Listy

Marian Ważny w artykule „Nostalgia za dawnym miasteczkiem” zarzucił mieszkańcom Cieszanowa, że się izolują od sąsiadów, że zanikło życie towarzyskie i miasto robi wrażenie opustoszałego. To prawda, ale nie do końca pada odpowiedź dlaczego tak się dzieje? Wystarczy przypomnieć sobie Cieszanów sprzed półwiecza. Drewniane domy a w nich ciasnota i rodziny trzypokoleniowe. Jedyną rozrywką to było radio. Co więc tych ludzi miało trzymać w domu? Woleli więc przybywać na zewnątrz. Zawsze to było lepsze od przysiadzania w domu i słuchania np. gderania żony.

Poza tym poczułam się dotknięta. Co za określenia:

Po nabożeństwie pędzą do domu”. Do kościoła przyjeżdżam samochodem z mężem. To co miałabym czekać, gdyby mąż z kolegami wyruszył na piwo? Albo wdał się z nimi w dłuższą pogawędkę? Czyli miałabym stać i gapić się nie wiadomo na co! Inne czasy, inne obyczaje. Jak już mężczyzna wziął ślub, założył rodzinę to ma obowiązki łącznie z przykładowym powrotem z żoną z kościoła.

Genowefa L. Cieszanów

16 marca

Do Oleszyc z Futor w stanie nietrzeźwym na rowerze przybył Aleksander B. Z kolei w Jędrzejówce, będąc po wódce na rower wsiadł Józef Sz.

Do Cieszanowa w stanie nietrzeźwym samochodem VW Polo przybył Stanisław K. ze Starogo Lublina.

17 marca

W Lubaczowie w restauracji nieznany sprawca Bożenie Z. skradł telefon komórkowy Nokia wartości 400 zł.

W Narolu mieszkanka Ukrainy w stanie nietrzeźwym kierowała Mercedesem.

18 marca

Z Baszni Dolnej do Lubaczowa w stanie nietrzeźwym przybył motorowerem Krzysztof Cz.

19 marca

W Woli Wielkiej Konrad D. na szkodę Nadleśnictwa Narol dokonał wyrębu i kradzieży 2,74 m3 drewna sosnowego wartości 465 zł.

W lesie Leśnictwa Łukawiec nieznany sprawca włamał się do koparki Rafała O. i dokonał kradzieży 40 l. Paliwa oraz kluczy nasadowych (straty – 400 zł).

21 marca

W Narolu nietrzeźwy Roman B. wyruszył na przejażdżkę rowerową.

22 marzec

W Gorajcu wybuchł pożar ciągnika MTZ Pro-nar wartości 50 000 zł. własności Tadeusza Z.

20 marca

W Oleszycach w stanie nietrzeźwym Tadeusz P. ze Starych Oleszyc podróżował rowerem.

23 marca

Z Baszni Dolnej Łukasz M. po pijanemu samochodem Peugeot przybył do Lubaczowa.

W Cieszanowie Waldemar S. przywłaszczył sobie samochód VW Golf własności Władysława K. a następnie dokonał jego sprzedaży.

Z Wólki Krowickiej do Lubaczowa w stanie nietrzeźwym przybył Kamil M.

24 marca

W Cieszanowie nietrzeźwy Kazimierz P. wyruszył na przejażdżkę rowerową.

Z Niemstowa Marzena S. będąc po wódce, samochodem VW Golf przybyła do Lubaczowa.

25 marca

W Borowej Górze Damian J. lat 17 i Sylwester J. lat 19 włamali się do stodoły Janiny P. i skradli sieczkarnie wartości 1500 zł.

28 marca

W Żałużu Władysław Z. w stanie nietrzeźwym wybrał się rowerem na przejażdżkę.

31 marca

W Nowym Lublińcu poprzez obrzucenie kamieniami uszkodzony został samochód Renault Clio własności Janusza M. Straty – 1500 zł.

Z Wólki Krowickiej po pijanemu samochodem VW Polo Jerzy S. przybył do Lubaczowa.

2 kwietnia

W Narolu nietrzeźwy Adam M. z Cieszanowa kierował samochodem Audi 80.

W Lubaczowie Grzegorz D. posiadał 0,35 g. ziela konopi oraz 7 g. amfetaminy.

4 kwietnia

W Lubaczowie w restauracji „U Dina” doszło do zbiorowej bójki z udziałem Artura M., Michała M., Jarosława K., Przemysława K. Jacka D. i Pawła P.

W Młodowie na szkodę Małgorzaty J. Bronisław A. i Waldemar S. dokonali wyrębu i kradzieży drewna.

**5 kwietnia**

W Jędrzejówce nietrzeźwy Dariusz O. podróżował rowerem.

6 kwietnia

W Oleszycach Anecie B. skradziono laptopa Sony wartości 1500 zł.

7 kwietnia

W Podemsczyźnie nieznany sprawca w stawie rybnym własności Teresy W. uszkodził młeczek co spowodowało straty w wysokości 18000 zł. W Dachnowie kierowca samochodu VW Passat potrafił Amelię M. lat 5., która doznała obrażeń ciała.

W Baszni Dolnej Krzysztof Cz. uszkodził samochód Opel Vectra własności Dariusza M. straty – 580 zł.

8 kwietnia

W Cewkowie Zbigniew H. będąc po wódce wyruszył rowerem na przejażdżkę.

W Lubaczowie wybuchł pożar drewnianego budynku z sianem i sprzętem rolniczym własności Ludwika W. Straty – 40 000 zł.

10 kwietnia

W Horyńcu Czesław U. po wybiciu szyby włamał się do piwnicy budynku mieszkalnego Zygmunta B. i dokonał kradzieży 100 zł. oraz artykułów spożywczych.

W Uławowie spaleni uległa stodoła Wandy O.

11 kwietnia

W Lubaczowie policjanci zatrzymali do kontroli rowerzystę, 17-letniego mieszkańca Borowej Góry, który kierował rowerem wyglądającym podobnie do skradzionego. Młodzieniec chwilę później przyznał się do kradzieży jednoślada. Funkcjonariusze sprawdzili stan jego trzeźwości, jak się okazało, miał on w organizmie ponad 2 promile alkoholu. To jednak nie był koniec kłopotów 17-latk. Policjanci szybko ustalili bowiem, że był on także sprawcą usiłowania rozboju na 16-letnim mieszkańcu Oleszyc.

W Horyńcu Andrzej W. w stanie nietrzeźwym prowadził samochód Łada Samara. A w Cieszanowie nietrzeźwy Ryszard F. z Dachnowa prowadził samochód Hyundai.

W Starym Lublińcu nietrzeźwy Wojciech Ł. wyruszył w podróż motocyklem MZ 250.

W Nowym Lublińcu Jerzy M. w stanie nietrzeźwym kierował ciągnikiem.

W Lubaczowie Aleksander M. lat 63 dokonał kradzieży znaku drogowego wartości 100 zł.

W Tymcach pomimo zakazu Florian B. wsiadł na rower.

12 kwietnia

W Horyńcu Mariusz P. posiadał skorodowany pistolet, karabin, skorupę granatu i amunicji.

13 kwietnia

W Hucie Różanieckiej Bogusław K. uszkodził samochód Opel Vectra na kwotę 470 zł. będący własnością Mariusza P.

W Lubaczowie w sklepie „Biedronka” nieznany sprawca Grażynie S. skradł portfel z dokumentami, kartami bankowymi, gotówką. A w sklepie LIDL nieznany sprawca Zofii F. skradł portfel z dokumentami i 100 zł.

14 kwietnia

W Gorajcu Stanisław G. naruszył zakaz kierowania samochodem VW Passat.

15 kwietnia

W Młodowie Roman M. z Lubaczowa znieważył i naruszył nietykalność funkcjonariuszy policji.

17 kwietnia

W Lubaczowie nietrzeźwy Waldemar S. kierował samochodem Seat Cordoba.

23 kwietnia

W nocy z niedzieli na poniedziałek czterej młodzi mężczyźni urządzili sobie libację alkoholową przed budynkiem Gminnego Ośrodka Kultury w Lisich Jamach. Poczynania mężczyzn rejestrowała kamera monitoringu, zamontowana na budynku GOK-u. W pewnym momencie ich agresja została skierowana na budynek, a szczególnie na zamontowaną tam kamerę. W rezultacie zerwali ją uszkadzając przy tym elewację i rynnę. Zapis z monitoringu pozwolił policjantom na natychmiastową identyfikację sprawców, którzy chwilę później zostali zatrzymani.

25 kwietnia

Policjanci ustalili, że trzech mieszkańców gminy Wielkie Oczy, dwóch 19-latków i 16-latek, trudnili się nielegalnym pozyskiwaniem metalu z różnych urządzeń. Skradzione przedmioty sprzedawali w skupach złomu, po znacznie niższych cenach, niż były one rzeczywiście warte.

Ofiarą złodziei padł przedsiębiorca z Łukawca, któremu sprawcy skradli łyżkę koparki o wartości około 4500 zł, a następnie sprzedali ją na złom za symboliczne 130 złotych. Policjanci badają okoliczności związane z legalnością zakupu części koparki przez właściciela złomu. Ponadto w czasie prowadzonych czynności u jednego ze sprawców funkcjonariusze ujawnili susz marihuany.

30 kwietnia

Policjanci z wydziału kryminalnego zatrzymali do kontroli drogowy samochód, którym kierował 30-letni mieszkaniec Lisich Jam (gmina Lubaczów). Nie była to jednak rutynowa kontrola. Funkcjonariusze podejrzewali, że mężczyzna może posiadać przy sobie narkotyki. Przypuszczenia potwierdziły się i w trakcie przeszukania policjanci znaleźli u kierowcy cztery porcje suszu marihuany zapakowane w woreczki strunowe, ważące około 3,5 grama.

2 maja

W nocy z poniedziałku na wtorek przed sklepem w Hucie Różanieckiej doszło do bójki co najmniej ośmiu osób - mieszkańców Huty i okolic Suścia. Jeden z uczestników bójki trafił z obrażeniami do lubaczowskiego szpitala. Okazało się, że obrażenia są bardzo poważne. Mężczyzna utrzymywany jest w szpitalu farmakologicznej. Policjanci już ustalili wszystkich uczestników bójki, którym niebawem zostaną przedstawione zarzuty.

4 maja

Na jednej z ulic Lubaczowa postrzelone z wiatrówki zostało czteroletnie dziecko. Z ustaleń wynikało, że chłopczyk został postrzelony w plecy i śrut utkwił pod skórą. Obrażenia wymagały interwencji chirurgicznej. Policjanci wytypowali sprawcę, okazał się nim 62-letni lubaczowianin, zamieszkały obok miejsca zdarzenia. Podczas przeszukania znaleziono u niego wiatrówkę wraz ze śrutami oraz nielegalną amunicję do broni ostrej.

Część spraw pozostaje w prowadzeniu. Ich przebieg oraz zakończenie może się różnić od opisywanych powyżej.

- Mycie dachów, elewacji, kostki brukowej
 - Profesjonalne sprzątanie biur, domów po budowach i remontach
 - Parowe mycie okien i dużych powierzchni szklanych
 - Pranie mebli wypoczynkowych i dywanów
- Praca na wysokościach !!!

Wystawiam faktury VAT

Tel 601684254

- Sprzedaż więźb dachowych – możliwość montażu
 - sprzedaż i montaż okien i drzwi
- Wystawiam faktury VAT

Tel 601684199

Listy

Lubaczów coraz bardziej staje się miastem emerytów. Wystarczy pospacerować ulicami. Widzi się przede wszystkim uczni i ludzi już wiekowych. A młodzieży tylko w okresie ferii świątecznych i wakacji pełno. Na co dzień nie ma ich bo z braku pracy wyjeżdżają w świat. Wydawać by się mogło, że właśnie emeryci są w najkorzystniejszej sytuacji. Wiadomo nie muszą się martwić o swój byt. Prawda jest jednak odmienna. Z kimkolwiek ze swoich znajomych wśród emerytów rozmawiam to każdy z nich się skarży, że musi pomagać dzieciom. Bo syn buduje dom, bo kupił na raty samochód, bo córka jest bezrobotna. Niestety nie czują z tego powodu satysfakcji. Słysze bowiem opinie - żadnej wdzięczności. Po prostu dzieci uważają, że pomoc im się należy. A nawet są animozje między dziećmi. Dasz jednemu to drugi wyciąga rękę. Najgorsze jest to, że wśród młodych panuje pogląd, że staremu już nic nie trzeba, że jeśli ma ciepły kąt i podane do stołu to po co mu pieniądze? Równocześnie od wracających z zagranicy słyszę. Tam emerytura to czas na używanie życia. A więc emeryci gremialnie podróżują, uczestniczą w różnych imprezach wycieczkach, zabawach. No cóż inna kultura, inny styl życia.

Franciszek K. Lubaczów

Pierwsze Komunie Święte budzą u mnie coraz bardziej mieszane uczucia. Zamiast aktu wiary jest problem w co ubrać dziewczynkę czy chłopca, jakie prezenty im kupić i kogo zaprosić na przyjęcie. Aspekt religijny bywa marginalizowany. Jeszcze kilka lat temu takie imprezy odbywały się w mieszkaniach i domach rodzinnych. Teraz już te uroczystości organizowane są w lokalach gastronomicznych, w których bierze udział nawet kilkadziesiąt osób. A cena prezentów waha się w granicach 1000 zł. Do standardów należą laptopy, skutery, zegarki. Gdy się swoimi wątpliwościami podzieliłem z krewnym, który właśnie organizował taką uroczystość (choć w domu im się nie przelewa) odpowiedział, że ludzie by go wzięli na języki, że poskapił dziecku godnego przyjęcia. A więc działa presja otoczenia, licytacja kogo stać na bardziej wystawne przyjęcie. W tym wszystkim dziwi mnie brak reakcji na tę przeobrażenia księży. Rodzice nie widząc z ich strony uwag, tym bardziej nie mają żadnych zahamowań w szarżowaniu z wystawnością. Trudno się dziwić, że młodej osobie ten dzień w pamięci głównie będzie kojarzony z otrzymanymi prezentami, gośćmi przybyłymi na przyjęcie.

Genowefa C. Lubaczów

www.pbslubaczow.pl

ZMIEN SWÓJ BANK DLA CHEVROLETA

AUTO 5,5% LOKATA

OSTATNIE DNI PROMOCJI
akcja trwa do 31.05.2012

POWIATOWY BANK SPÓŁDZIELCZY

Załóż Auto - Lokatę w Banku PBS Lubaczów i zyskaj szansę na wyjątkowo realne nagrody, które przeznaczone są wyłącznie dla klientów Powiatowego Banku Spółdzielczego w Lubaczowie. Każde kolejne pełne 2000 zł na lokacie to dodatkowy los w loterii.

PULA NAGRÓD

Chevrolet Spark - nagroda główna 1 szt
Telewizor LCD 32 cale - 3 szt
Konsola Sony PS 3 - 2 szt

oprocentowanie zmienne:

1-2 miesiąc = 5,5 %

3-6 miesiąc = 4,0 %

oprocentowanie średnie = 4,5 %

czas trwania: 6 miesięcy (lokata odnawialna)

minimalny wkład: 2000 zł